ROK WYDAWNICTWA SZÓSTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 czerwca 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
71 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

JERZY BOREISZA

O WIERNOŚĆ STARYM SZTANDAROM

DETRONIZACJA PROLETARJATU?

Powojenny rozwój kapitalizmu, przyspieszając proces gnilny współczesnego ustroju gospodarczego, zahamował w wielu krajach dalszy wzrost liczebności proletarjatu; wynaturzona arystokracja robotnicza i masa strukturalnego bezrobocia stały się pomostem dla wrogich agentur w łonie klasy robotniczej. Stąd izolacja proletarjatu wobec innych klas, będąca szczytem marzeń kapitału finansowego, została bardzo ułatwiona. W tej koalicji współdziałają, często nieświadomie, donkichotowscy obrońcy niepokalanej doktryny, którzy widzą w świecie kapitalistycznym jedną, zwartą masę reakcyjną, zaliczając do niej, rzecz jasna, całe mieszczaństwo, drobnomieszczaństwo i wszystkich robotników, nie należących do ich ugrupowania. Poprzez nieprzemyślane akcje, poprzez zadrażnianie stosunków klasy robotniczej z innemi warstwami społecznemi, w czem wydatnie zapewne pomagali wszelkiego rodzaju prowokatorzy — prowadziła ta droga bezwzględnych doktrynerów do faktycznej detronizacji proletarjatu.

Zdetronizować proletarjat! — oto wołanie, które rozlega się od „lewicy" do prawicy. Henryk de Man w swoich pracach usiłował temu hasłu nadać naukową szatę. U nas w Polsce słyszeliśmy nieraz wołanie o zburzenie mitu proletarjatu. Bardzo charakterystyczny artykuł p. t. „Mit proletarjatu i mit Polski bez proletarjatu" ukazał się (dnia 24 grudnia 1936 r.) na łamach „Gońca Warszawskiego". Wojciech Zaleski, głosząc mit Polski bez proletarjatu, pragnie przeciwstawić fabrykom — drobne warsztaty. Głównym wrogiem jest proletarjat, gdyż „Polska bez proletarjatu — to Polska wolności". Wypadnie nam wkrótce powrócić do poglądów Jana Mosdorfa, czołowego publicysty „Prosto z Mostu"; przypomnijmy dzisiaj również poglądy Stanisława Żejmisa z artykułu „Inteligentom wstęp wzbroniony". St. Żejmis rzuca hasło: „ceterum censeo proletariatum et inteligentiam delendam esse" — „mimo wszystko uważam, iż należy zburzyć proletarjat oraz inteligencję".

Stosunek socjalizmu naukowego do proletarjatu nie ma nic wspólnego z deifikacją (ubóstwianiem) pewnego gatunku rozhisteryzowanych, sentymentalnych grup inteligencji, z t. zw. ludomanją. Wypływa on ze zbadania motorów gospodarki współczesnego układu społecznego, oraz sił górujących i wtórnych. Istnieje walka między dwoma biegunami: jednym biegunem jest kapitał finansowy (faszyzm), drugim biegunem naszego życia społecznego jest proletarjat (socjalizm). Socjalizm świadomy roli proletarjatu nie może nie doceniać wielkiej roli chłopstwa, warstw pośrednich, a na pewnych odcinkach antytotalistycznego mieszczaństwa. W jakichkolwiek sojuszach, związkach i t. d. nie wolno rezygnować z samodzielnej i kierowniczej roli tej warstwy społecznej, którą bieg rozwoju społecznego wysunął na czoło.

W artykule programowym J. N. Millera, którego część ogólną omówiliśmy („Stare sztandary i nowe czasy", nr. 62), obnażyła się, zdaniem naszem, tendencja **zrównania** roli proletarjatu z rolą innych warstw społecznych, a więc niejako rezygnacja z samodzielnej, kierowniczej jego postawy.

NARÓD

Mamy tu na myśli zobrazowanie przez J. N. Millera stosunku proletarjatu do narodu. Przedewszystkiem należałoby sprostować szereg nieścisłości: Miller twierdzi bowiem, że: „oderwana zasada międzynarodowości, głoszonej dotąd przez socjalizm w sposób zbyt mechaniczny, zderza się nieuniknienie z konkretnemi różnicami w położeniu klasy robotniczej w poszczególnych krajach". Następnie: (socjalizm) „często nie docenia, nie chce dostrzec konkretnych różnic w sytuacji gospodarczej poszczególnych krajów, podczas gdy właśnie te różnice, wzmagające poczucie krzywdy i poniżenia zbiorowego — stają się siłą pędną faszyzmu czy nacjonalizmu".

Jest to, powiedziałbym, bardzo podstawowa nieścisłość. Socjalizm przejął sztandar ruchów narodowych z rąk mieszczaństwa, jeszcze w połowie ubiegłego stulecia. Z chwilą, gdy po Wiośnie Ludów mieszczaństwo zaczęło się kumać z resztkami feodalizmu, z chwilą, gdy Cavoury i Thiersy wołali o pomoc międzynarodowych sił przeciwko własnemu ludowi, linja podziału stała się jasna: z jednej strony klasa robotnicza, coraz bardziej uświadamiająca sobie, że ona jest rzecznikiem interesów całego narodu, z drugiej coraz bardziej bezojczyźniana, internacjonalna klika kapitalistyczna. Poprzez walkę o niepodległość proletarjatu Polski, poprzez walkę narodową we wszystkich państwach współczesnych dobiegliśmy do naszego okresu, gdy bezojczyźniany kapitał finansowy jest najgroźniejszym wrogiem narodów, proletarjat zaś, i nie tylko hiszpański lub chiński, ale nawet w krajach tak kapitalistycznych, jak Anglja lub Francja, staje się kierownikiem ruchów narodowych.

Twórcy współczesnego socjalizmu od pierwszej chwili odgraniczyli się od t. zw. kosmopolityzmu. W liście do Engelsa z dnia 20 czerwca 1866 roku pisze Marx, w związku z dyskusją na radzie Międzynarodówki:

„Przedstawiciele młodej Francji (**to nie są robotnicy**) rzucili myśl, że każda narodowość i narody to są przestarzałe przesądy. To sprudonizowany stirnerjanizm. Pragną oni wszystko rozproszkować w małe grupy albo „komuny", które stworzą w rezultacie w miejsce państwa jakieś zjednoczenie. Ta indywidualizacja ludzkości powinna dokonać się, podczas gdy historja zatrzyma się w innych krajach i we wszechświecie i zaczeka, póki Francuzi dojrzeją do rewolucji społecznej".

Jest jednak różnica między poczuciem więzi narodowej i obowiązkiem solidarności międzynarodowej w szeregach robotniczych, i w łonie reakcyjnej kliki kapitału. W. Kossowski, publicysta bundowski, trafnie charakteryzuje różnice między jednem i drugiem stanowiskiem:

„Można łatwo dostrzec, jak ci ludzie, którzy zmonopolizowali patrjotyzm, są tak zaślepieni w swym burżuazyjnym egoizmie klasowym, że nie widzą i nie rozumieją, jak ważne jest wychowanie międzynarodowe robotników właśnie z punktu widzenia obrony niepodległości kraju.

Ci ludzie są wzburzeni tem, że we Francji rzucono hasło: „Nie chcemy walczyć i umierać dla Gdańska". W swojej ograniczoności narodowo-burżuazyjnej nie rozumieją oni, że taka myśl mogła mieć wpływ na francuski proletarjat tylko dlatego, że on nie był dostatecznie przygotowany w swem wykształceniu socjalistycznem, aby oceniać Gdańsk nie jako izolowany punkt, ale jako część składową sytuacji międzynarodowej. Heca „patrjotów" przeciwko proletarjackiemu internacjonalizmowi jest to zwykła głupota, która ma swe źródło w ich duchowej, mieszczańskiej zaściankowości".

Sądzimy więc, że zarzut, postawiony przez J. N. Millera socjalizmowi dotyczy tylko jednego, wypaczonego odłamu socjalizmu, który zresztą odgrywa obecnie nikłą rolę. Natomiast kierownicza rola proletarjatu w ruchach narodowych nie oznacza, oczywiście, abyśmy mieli na tym odcinku **detronizować** jego samodzielne stanowisko.

Wydaje mi się, że formułując zarzut, jakoby socjalizm nie rozróżniał specyficznej struktury poszczególnych krajów, J. N. Miller popełnił właśnie ten sam błąd, zamazując zupełnie różnice między krajami kolonjalnemi, nawpół kolonjalnemi i krajami, o tak rozwiniętej gospodarce, jak Polska. Nie ulega wątpliwości, że w obecnym okresie historycznym kapitał finansowy, przy pomocy odnóg narodowych, które istnieją w poszczególnych krajach, spowodował zbliżenie we wspólnej walce nie tylko proletarjatu, nie tylko chłopstwa i inteligencji, ale również i części mieszczaństwa. Nie wynika stąd, że socjalizm niemiecki powinien popierać hasła imperjalistyczne Trzeciej Rzeszy, gdyż zdaje on sobie sprawę, że naród niemiecki może się obejść bez owego „Lebensraumu", który jest potrzebny klice imperjalistycznej. Nie oznacza to, że naród włoski, kolonizowany obecnie przez kapitał finansowy niemiecki przy pomocy swego rodzimego kapitału finansowego, powinien w imię abstrakcyjnej wspólnoty narodowej walczyć o interesy tych grup. Wypada żałować, że tego rozgraniczenia w artykule J. N. Millera nie spotkaliśmy — może uczyniłoby to zbędnym niejeden wywód.

Pojęcie narodu oznacza wspólnotę językowo - psychiczną, jako nadbudowę, oraz łączność gospodarczo - terytorjalną. Czytaliśmy wywody Millera o kulturze szlacheckiej, a więc mieliśmy próbkę kulturalnego zróżniczkowania. Gdyby nasz antagonista zechciał zająć się konkretyzacją pojęć gospodarczych, napewno otrzymalibyśmy zróżnicowanie między interesami narodowo - gospodarczemi Polski a interesami przeciwnarodowemi klik kapitalistycznych.

Gdy zaś mowa o klikach kapitalistycznych raz jeszcze wypada nam stwierdzić, że część mieszczaństwa, zagrożona w swym bycie przez kapitał finansowy może stać się i stała się w niektórych krajach sprzymierzeńcem zdrowych sił narodu.

IMPERJALIZM

Zdobycze i sukcesy faszyzmu, klęski, jakie socjalizm niewątpliwie poniósł na niejednym odcinku, spowodowały pewien wstrząs w kołach inteligencji i uproszczone rozumowanie: skoro faszyzm dla zdobycia władzy posługiwał się hasłami, zapożyczonemi od socjalizmu, czemu to socjalizm nie miałby przejąć tych haseł faszyzmu, które przemawiają do mas? W pewnych kołach prawicowej młodzieży rozpoczęto kolportować następujące rozumowanie: skoro Wielka Brytanja zdobyła swoje światowe stanowisko dzięki wyzyskowi nie tylko ludów kolonjalnych, ale i swoich mas robotniczych, Polska powinna również nie zważać obecnie na sytuację swoich mas chłopskich i robotniczych; z chwilą zaś, gdy zdobędzie w świecie imperjalistyczne stanowisko, zmieni się również i sytuacja polskich mas robotniczych.

Argument sukcesów faszystowskich jest zupełnie nie przekonywający i w świetle wypadków ostatnich miesięcy raczej stracił zupełnie swą rację: nie wiemy jeszcze jak z „sukcesów", które trwają zaledwie dziesięć lat, wyjdzie w końcowym obrachunku naród włoski i niemiecki; może się to skończyć ruiną tych narodów. Dziesięć lat w dziejach świata, to bardzo mało dla wysnucia światopoglądowych wniosków, a czasem bardzo wiele dla pogrążenia własnych narodów w jarzmo niewoli. Natomiast pozostaje argument, którym posługuje się J. N. Miller, t. zw. argument angielski. „Robotnik angielski dotąd, podobnie jak w czasach Engelsa, najspokojniej korzysta wespół z kapitalistą angielskim z monopolu kolonjalnego Anglji". I na potwierdzenie tej tezy przytacza J. N. Miller list Fryderyka Engelsa do Kautsky'ego z dnia 12 września 1882, o tem, „jak robotnicy angielscy najspokojniej w świecie korzystają z monopolu kolonjalnego Anglji".

Przypomnijmy, że przed okresem wzrostu arystokracji robotniczej w Anglji, przed rozkwitem imperjalizmu Disraeliego, w roku 1845 wydał tenże Fryderyk Engels książkę „Die Lage der arbeitenden Klasse in England", w której zgoła odmiennie odmalował sytuację proletarjatu angielskiego niż w liście, cytowanym przez Millera (z dnia 12 września 1882); prócz ustępu o tem, co robotnicy sądzą o kolonjalnej polityce swego państwa, jest dalej rzut oka w przyszłość i perspektywy ruchów kolonjalnych: „Jak się ten proces odbędzie — pisze Engels — trudno jest przewidzieć. Indje przejdą być może, co jest prawdopodobne, rewolucję... To samo może się odbyć jeszcze w Egipcie i Algerze, i to **byłoby dla nas najlepsze wyjście...** Jakie poszczególne stopnie socjalne i polityczne wszystkie te narody mają jeszcze przebyć, aż do chwili, gdy dojdą do socjalistycznej organizacji, o tem możemy dzisiaj jeszcze snuć bardzo luźne hipotezy. Jedno jest pewne: zwycięski proletarjat nie może narzucać żadnemu narodowi jakiegokolwiek uszczęśliwiania, bez pogrzebania tą drogą swego własnego zwycięstwa. Oczywiście, nie są przytem wykluczone wojny obronne wszelakiego rodzaju". A co Engels sądził jeszcze o imperjum angielskiem, możemy dowiedzieć się z późniejszych dopisków do „Sytuacji klasy robotniczej w Anglji z roku" 1887—1892. Skoro cytuje się Engelsa, pozwoliliśmy sobie zacytować do końca.

Na pewnym etapie rozwoju imperjum angielskiego — a okres ten jeszcze niewątpliwie poniekąd trwa — udało się imperjalizmowi Anglji sprzęgnąć ze sobą arystokrację robotniczą Anglji. Ale dzisiaj — obecnie mamy rok 1939 — jesteśmy świadkami bezsilnego zmagania się imperjalizmów, które zbyt późno przybyły do stołu dobrze rozgospodarowanych w świecie imperjalizmów wielkich demokracyj; istnieją również zmagania się „sytych" grup imperjalistycznych. Jesteśmy w okresie, gdy imperjalizm, to ustrój gospodarczego epigonizmu. Jeśli Anglja zajęła miejsce gospodarczej przewodniczki świata, stało się to tylko dzięki temu, że w okresie schyłkowym ustroju feodalnego pospieszyła z gospodarką prekursorską, kapitalistyczną. W naszej epoce kapitalizm stał się epigonem, wraz z anarchją, chaosem, które spowodował, a przodujące miejsce zajmie społeczeństwo bardziej postępowego typu.

Skoro ta podstawowa prawda jest, a w każdym razie powinna być wspólna dla nas socjalistów, a więc i dla J. N. Millera, skoro chcielibyśmy wszyscy widzieć Polskę, i to nie dla mesjanizmu romantycznego, ale dla jej własnej racji rozwoju na tej drodze postępu — dziwny może się wydać ów pietyzm dla haseł imperjalistycznych.

Natomiast tragedja pomyłek następuje z chwilą, gdy Miller wkracza na pole ekonomicznych rozważań. Twierdzi on — i to słusznie — że imperjalizm spycha na stanowisko proletarjuszy już nie tylko klasę, ale całe narody i państwa. Ale stąd nader dowolny wniosek: zdaniem J. N. Millera można wyzwolić kraj własny spod panowania obcego kapitalizmu, przy zaniechaniu walki z rodzimym kapitałem finansowym, dlatego, że łatwiej jest wywrzeć nacisk na rodzimy, „narodowy" kapitał finansowy, aniżeli na obcy. Przypuszczamy, że niema grupy kapitału finansowego, któraby szcze-

rze powodowała się względami narodowemi. Polska nie jest krajem kolonjalnym, posiadamy swój rodzimy kapitał finansowy, który ułatwił wtargnięcie do kraju grupom Boussaków i innych. Nie mamy zamiaru pomniejszać haniebnej roli najeźdźcy, obcego kapitału finansowego.

Wspólna walka całego, bez wyjątku, narodu jako jednostki gospodarczej przeciwko najeźdźcy gospodarczemu jest możliwa w krajach, gdzie niema rodzimego kapitału finansowego. Kapitał finansowy rodzimy nie będzie pomagał w walce o ograniczenie obcego kapitału, przeciwnie, będzie taką walkę sabotował. A więc walka z zagranicznym kapitałem finansowym musi toczyć się równolegle z walką z pewnemi grupami krajowego kapitału finansowego. Będzie ona zainicjowana przez naród, **pod kierownictwem ludu.**

W ramach obecnego ustroju może i musi nastąpić ograniczenie, wyrugowanie z życia narodu najeźdźczych grup kapitału finansowego. Przykład autarkistycznych Włoch, które stają się kolonją kapitału finansowego Trzeciej Rzeszy, musi jednak być ostrzeżeniem dla każdego, ktoby pragnął na realnych możliwościach i warunkach rozwoju gospodarczego swego kraju oprzeć programowe dezyderaty.

ŻYDZI

W sprawie żydowskiej pisze J. N. Miller: „...Współczesny antysemityzm np. panujący w niektórych państwach Europy Środkowej (Niemcy, Polska, Rumunja) ma niewątpliwie źródła i podstawy w uprzywilejowaniu ekonomicznem ludności żydowskiej wobec ludności tubylczej“.

To zdanie zawiera szereg twierdzeń, nie mających nic wspólnego ani z prawdą historyczną, ani z prawdą socjologiczną. Żydzi przywędrowali do Polski w zgoła odmiennych warunkach, aniżeli do Niemiec i odegrali tu zupełnie odmienną rolę; najtrafniej wykazał to, naszem zdaniem, dr. J. M. na łamach „Głosu Gospodarczego“ (nr. 12, grudzień 1938 r.). Żydzi zostali bowiem sprowadzeni przez szlachtę, jako przeciwwaga na wpływy niemieckie, podczas gdy ustrój feodalny sabotował rozwój własnego mieszczaństwa.

Współczesny antysemityzm w Niemczech i w Polsce różni się swą rolą historyczną. Jeśli idea chrześcijańska była dla Krzyżaków — jak to twierdził już Ranke — tylko formą, poprzez którą działał imperjalizm prusacki — współczesny antysemityzm niemiecki, anarchizując życie w poszczególnych krajach, dąży m. in. do usuwania kapitału żydowskiego, celem utorowania drogi kapitałowi niemieckiemu. Tak było w Słowacji i w Czechach, gdzie na miejsce opróżnione przez kapitał żydowski wkroczył kapitał niemiecki. Pamiętamy wszyscy kampanję pewnej prasy przeciwko kapitałowi żydowskiemu w jednem z większych przedsiębiorstw pod Łodzią, dokąd, po wyrugowaniu Żydów, wkroczyli Niemcy.

Skoro J. N. Miller podtrzymuje tezę o „uprzywilejowaniu ludności żydowskiej wobec ludności tubylczej“, ma to swe źródło w nader abstrakcyjnem rozpatrywaniu spraw. O jaką bowiem ludność żydowską chodzi? Łatwo przekonać się z pierwszej lepszej tabeli, jaka jest struktura ludności żydowskiej w Polsce. Prawda, istnieje dysproporcja w udziale Żydów w wolnych zawodach, ale chyba adwokaci i lekarze nie stanowią trzonu życia gospodarczego kraju? Jak zresztą stwierdza Majer Polner na podstawie wielu danych w swej ciekawej, acz nie zawsze słusznej pracy „Emigracja i przewarstwowienie Żydów polskich“ — „udział Żydów w całem polskiem szkolnictwie średniem i wyższem wykazuje według danych oficjalnych stały spadek, datujący się już od dłuższego czasu, niemal od chwili odrodzenia Polski“.

Procent proletarjatu wobec całości społeczeństwa żydowskiego wynosił w roku 1921—22, 2%, w społeczeństwie zaś nieżydowskiem — 22,0. Jeśli zaś chodzi o udział żydowski w handlu i przemyśle, to mimo globalnej sumy, która sięga, a nawet miejscami przewyższa 50% w miastach, należy pamiętać o tem, że przeważająca część tych handlowców, to sklepikarze, domokrążcy, straganiarze.

Istnieje burżuazja żydowska, istnieje wielki kapitał żydowski. Jeśli dobrze zrozumiałem, J. N. Miller pragnie wydziedziczenia tego kapitału na „rzecz ludności tubylczej“. Żaden socjalista nie może oczywiście niepokoić się hasłem przekazania dochodu społecznego na rzecz ludności, czyli na rzecz biedoty, ludu. Oczywiście, pod warunkiem, że nie będzie ono miało charakteru hecy szowinistycznej, antysemickiej, i jeżeli odbędzie się bez rozróżniczkowania narodowościowego. Hasło rasistów jest inne: chodzi o konfiskatę kapitału żydowskiego na rzecz „ludności“, rozumianej jako kapitał „tubylczy“, albo jak to było w wypadku łódzkim, na rzecz kapitału aryjsko-niemieckiego. Nigdy ci panowie nie zgodzą się na istotną socjalizację kapitałów żydowskich, gdyż stworzyłoby to w oczach narodu zbyt wielką dysproporcję między tym właśnie socjalistycznym odcinkiem życia gospodarczego kraju, a rodzimym, kapitalistycznym. Cóż stało się z przedsiębiorstwami żydowskiemi w Niemczech?

Hasło wydziedziczenia kapitału żydowskiego jest więc hasłem czysto demagogicznem. Można Żydów lubić lub nie lubić: rzecz gustu. Można mieć w swych żyłach stuprocentowo semicką krew i nie wypierać się tego, i nie bronić burżuazji żydowskiej, i przyznawać się do troski, sympatji, a nawet przywiązania do żydowskiej biedoty. Ba! można wyjść z łona matki Żydówki, nie uważając tego za hańbę, którą należy histeryczną sarmackością zmywać, i nie być mimo wszystko redaktorem antysemickiego pisma. Socjalista w swych rozumowaniach nie bierze pod uwagę tych sympatyj osobistych, ale prawdę objektywną.

Pozytywną stroną rozumowań J. N. Millera jest odgrodzenie się od emigracjonizmu, któremu niestety hołduje część socjalistów, chociażby J. M. Borski. Słusznie piętnuje Miller dywersyjność tego emigracjonizmu i staje na stanowisku przewarstwowienia społeczeństwa żydowskiego w Polsce. Tutaj jest J. N. Miller znacznie mniej antysemitą od tych kół wielkiej burżuazji żydowskiej, która zwalczając rzekomo emigracjonizm oenerowski, sama pospieszyła do wątpliwej wartości komitetów, mających na celu poparcie poronionych pomysłów: o wartości tych emigracjonistycznych pomysłów pisze słusznie nawet niesocjalistyczny socjolog, jak dr. Aleksander Hertz na łamach „Wiedzy i Życia“ (zesz. 11, r. 1938):

„Przedwojenne ruchy migracyjne odbywały się w ramach liberalnego systemu wymiennego. Temu systemowi zawdzięczały one też swoje istnienie. Z tą chwilą, gdy zaczynają panować systemy autarkji, gdy wymiana podlega ścisłej reglamentacji, gdy zasady protekcjonizmu ogarniają wszelkie dziedziny życia — nie może być mowy o masowych ruchach migracyjnych“.

Skoro jednak stajemy na stanowisku przewarstwowienia, skoro mówimy A, należy powiedzieć B. Jest naiwnością twierdzenie, że istotna, ogarniająca całokształt przemiana może nastąpić bez pewnej przebudowy życia w kraju. Wyrywanie zagadnienia żydowskiego, judeocentryzm — to uleganie sugestjom „mistycyzmu“ oenerowskiego.

W społeczeństwie żydowskiem musi nastąpić zerwanie z feodalnemi pozostałościami, narzuconemi przez Polskę szlachecką, musi nastąpić przystosowanie się do Polski jutra. Ale Mustafa Kemal mógł zedrzeć fez z głowy Turków na tle gruntownej przebudowy gospodarczej społeczeństwa; jarmułkę, chałat i stragan można znieść na tle przebudowy społeczeństwa w kraju, **nie rezygnując jednak z tego przewarstwowienia, jakie można obecnie osiągnąć.** Wyrwanie zagadnienia straganu z całokształtu, w imię rzekomo okrężnej drogi, jest, mojem skromnem zdaniem, przyjmowaniem na serjo demagogji nazistowskiej.

O WIERNOŚĆ STARYM SZTANDAROM

Rozbieżności z J. N. Millerem sięgają bardzo głęboko. Chodzi o całokształt światopoglądu socjalistycznego. Chodzi o postawę wobec nowych czasów.

Bezwątpienia, czasy nowe wymagają dostosowania, rewizji pewnych prawd. Twórcy socjalizmu zdawali sobie sprawę, że przyszłości nie da się „przewidzieć“, ani możliwych w przyszłości kombinacyj. Po odczycie w T. U. R.-ze pewien robotnik zapytał: „A co Marx sądził o faszyzmie?“. Nie, Marx nic nie sądził o faszyzmie, tak samo jak Engels, gdyż rozwój historyczny przynosi wiele niespodzianek, które mieszczą się jednak w ramach marxowego systemu myślenia.

Jeśli zaś mowa o metodzie socjalistycznej, w świetle dyskusyj, jakie ostatnio były na łamach naszej prasy, można zauważyć dwa błędne wykoszlawienia:

a) Mechaniczne stosowanie metody, celem uproszczenia zjawisk, i to zarówno na odcinku filozoficznym, jak i politycznym. Publiczność łaknie efektownych i prostych sformułowań. I tak jak oenerowcy, którym sprawa roli proletarjatu, sprawa inteligencji, sprawa żydowska sprawiają kłopot — „burzą“ wszystko, tak samo istnieją niestety umysły, które powołując się oczywiście na marxizm, pragną wszystko uprościć.

b) Niemniej niebezpieczne wykoszlawienie polega na nazbyt liberalnej interpretacji metody socjalistycznej, gdy pragnie się ogarnąć i przytulić eklektycznie, w imię żywiołowości, modernizmu i t. d. wszystko, co mogłoby spodobać się czytelnikowi. To włóczenie się w ogonie nastrojów wydaje się nam niemniej niebezpieczne aniżeli prymitywizacja powierzchowna skomplikowanych zjawisk.

Wydaje się nam, że wytrwanie przy starych sztandarach metody socjalistycznej — której potwierdzeniem jest wszystko to co zaszło ostatnio zarówno w świecie czynów jak i nauki — pozwala nam w obliczu tak wielkich przemian znaleźć jedyną drogę prostą, a więc najbliższą i najsłuszniejszą do zwycięstwa sprawy, która, chcę wierzyć, jest nam wszystkim najdroższa.

Jerzy Boreisza

ZYGMUNT JAROSZ

Morderstwa lwowskie

Pokój europejski zależy od rozwoju sytuacji we Lwowie. Paradoks? Bynajmniej. Wróg nie odważy się rozwiązać gwałtem „sprawy gdańskiej“, jeśli w porę potrafimy rozwikłać „sprawę lwowską“. Stary gród kresowy jest najczulszym punktem newralgicznym Rzeczypospolitej.

Miasto, w którem podczas roku akademickiego 1938/39 na terytorjach uczelnianych pobito śmiertelnie trzech studentów-Żydów. Miasto, w którem dawni petlurowcy słuchają radja z Wiednia, w którem rozwija się sjonizm, w którem nacjonalizm polski może się pochlubić przeróżnemi „sukcesami“.

Pomiędzy te sukcesy wliczyć należy śmierć Markusa Landesberga, studenta I kursu chemji Politechniki lwowskiej. 24 maja 1939 r. około godziny 7-ej wieczorem wyszedł on z laboratorjum, ukończywszy swą pracę. W korytarzu przy bramie prowadzącej na podwórze zaatakowała go bojówka, złożona z 3 osób, która już uprzednio czatowała pewien czas w pobliżu. Śmiertelnie pobity tępemi narzędziami, doznał złamania podstawy czaszki, a przewieziony do szpitala, zmarł tam dnia 26 maja.

W listopadzie roku ubiegłego w podobny sposób zamordowani zostali dwaj studenci: Proweller i Zellermayer. Ale od tamtego czasu przebyliśmy szmat drogi historycznej, zbogaciliśmy się o wiele groźnych doświadczeń. W listopadzie roku ubiegłego niepodległość Polski nie była bezpośrednio zagrożona. W maju roku bieżącego stało się natomiast jasne ponad wszelki wyraz, że naporowi germańskiej bryły może się przeciwstawić tylko monolitowy blok wszystkich bez wyjątku obywateli Rzeczypospolitej. Wyłączać z tego bloku jakąkolwiek narodowość, zamieszkującą nasze ziemie, mógłby albo **zdrajca** albo **obłąkaniec.**

Sześć lat wskazywała demokracja polska na niebezpieczeństwo infiltracji haseł rasistowskich. Sześć lat nawoływała do zahamowania importu ideologicznego z Trzeciej Rzeszy. Dziś już nawet domorośli przeciwnicy demokracji zaczynają się orjentować, jak śliska była droga światopoglądowego upodabniania się Polski do Hitlerlandu. Wszakże tak niedawno p. von Ribbentrop zwierzał się wysłannikowi „Kurjera Czerwonego“ z okazji swej wizyty warszawskiej: „Dzięki atmosferze podobnych światopoglądów stosunki między obu narodami (polskim i niemieckim) powinny być coraz bliższe...“ A p. Mussolini w specjalnej deklaracji, drukowanej olbrzymiemi czcionkami na pierwszej stronie „Gazety Polskiej“ z 25 lutego b. r., oświadczał: „Do dawnych związków kulturalnych, łączących nasze dwa narody, przybył w ostatnich latach węzeł tej wspólnoty ideowej, która wraz z harmonją ich interesów politycznych zapewnia przyjaźni naszych dwóch krajów realną i trwałą podstawę“.

Przewidywania obu faszystowskich ekscelencyj gruntownie się nie sprawdziły. Okazało się, że stosunki polsko - niemieckie mogłyby być coraz bliższe, ale za cenę naszej rezygnacji z niepodległości. Okazało się, że niema mowy o harmonji interesów politycznych Polski i Włoch, maszerujących pod komendą Berlina. Ale oświadczenia pp. Mussoliniego i Ribbentropa są znamienne o tyle, że wykazują, jak wielką wagę przywiązywali faszystowscy mężowie stanu do światopoglądowego małpowania brunatnoczarnych wzorków.

I oto w krwawem świetle morderstw lwowskich widać wyraźnie, że nadzieje, pokładane przez obce agentury w ideologicznem naśladownictwie porządków faszystowskich, mogą się spełniać, mogą owocować. Tygodnik „Zaczyn“, organ związany z najbardziej monopartyjnemi ośrodkami sanacyjnemi, podejmował niedawno próbę zestawienia „elementów, na które penetracja niemiecka liczyć może“. Na czwartem miejscu wymienił możność rozbrojenia przeciw-niemieckich nastrojów mieszczaństwa polskiego przez ekscytowanie go kwestją żydowską, która miałaby przesłonić wszystko inne.

A w niewiele dni potem lwowski oddział Stronnictwa Demokratycznego oświadczał w związku ze śmiercią Markusa Landesberga, co następuje:

„Od dłuższego już czasu przesącza się do pewnych środowisk naszej młodzieży straszliwy jad hitlerowskiego światopoglądu, który jest zaprzeczeniem wszystkich wartości kultury ogólnoludzkiej; w życiu publicznem stosowane są metody wzięte bezpośrednio od szturmowych oddziałów neopogaństwa germańskiego.

I dzieje się to w czasie, kiedy społeczeństwo całe w godności i w spokoju zwiera się w sobie, by oddać życie za całość i niepodległość państwa naszego, gdy może już jutro zajdzie tego potrzeba. Społeczeństwo nasze musi się odgrodzić jak najmocniej od występnych czynów pewnego odłamu naszej młodzieży, musi naśladowcom światopoglądu i metod hitlerowskich powiedzieć jak najbardziej stanowczo, że niema dla nich miejsca w życiu polskiem.

Ta młodzież, dla której każda metoda walki jest dobra, która występkami swemi przynosi wstyd godności Polaka, musi nareszcie usłyszeć twarde i nieustępliwe słowa powszechnego potępienia — tak samo, jak i ci wszyscy, na których spada moralna odpowiedzialność za wystąpienia tej młodzieży“.

„Odpowiedzialność moralna“... Sięgnijmy do prasy endeckiej, endekoidalnej, oenerowskiej sprzed lat kilku. Kanclerz Hitler rozpoczynał wówczas swą tryumfalną drogę. A my czytaliśmy:

„W ostatnim czasie panoszące się, zgiełkliwe jak szarańcza napastliwe żydostwo na terenie województwa poznańskiego odebrało trochę ciegów.

Tu i owdzie we Wronkach i Pniewach **przetrzepano skórę** tandeciarzom, chałaciarzom, handełesom. Na jarmarkach powywracano stragany, żydków obito“.

(„Czuwajmy“, nr. 12 z 1 kwietnia 1934 r.).

„Na drugiem przedstawieniu „Rodziny“ w Wilnie nieujawnieni sprawcy rzucili kilka próbówek z gazem łzawiącym, wywołując popłoch wśród licznie zebranych na widowni żydofilów. Po półgodzinnej przerwie przy zredukowanej liczbie publiczności przedstawienie wznowiono. Tak panowie Hebreje i szabesgoje. Łzawiący gaz! Jak to dobrze, że tylko łzawiący!“

(„Wielka Polska“, nr. 12a z 13 maja 1934).

„Zażydzona prasa będzie nas nazywała chuliganami, bandytami politycznymi. Prasa czynników oficjalnych będzie nas nazywała podżegaczami, zbrodniarzami w „łonie narodu“.

(„Sztafeta“, nr. 15 z 29 kwietnia 1934 r.).

„Feluś... wymyślił świetną zabawę w Hitlera. Porobili sobie z papieru sztandary ze swastyką, zaopatrzyli się w brzezinowe pręty i tak zjawili się w klasie. Żydziaki odrazu pochowały się pod ławki“.

(„Młodzi“, nr. 2 z kwietnia 1934 r.).

Porcja cytat bardzo skromna i z bardzo krótkiego czasokresu. Możnaby ją powiększyć olbrzymio. Możnaby sięgnąć do „poważniejszych“ organów „narodowych“. Możnaby przypomnieć antyfonę, drukowaną na pierwszej stronie „Prosto z Mostu“ (nr. 9 (117) z 21 lutego 1937 r.), a kończącą się takiem seraficznem westchnieniem:

„...ześlij, zepchnij, Aniele Boży,
Noc Długich Noży“.

Cóż dziwnego, że teraz noże są w ruchu? Cóż dziwnego, że „zabawa w Hitlera“ ciągle się jeszcze udaje? Cóż dziwnego, że różne mniej lub więcej podejrzane indywidua chcą odwrócić uwagę mas od żelaznego hitlerowskiego walca, aby ukazać im... niebezpieczeństwo drewnianych straganów żydowskich?

Nie wiemy dnia ani godziny, kiedy lud ukraiński i lud żydowski, na ziemiach Rzeczypospolitej zamieszkałe, wezwane zostaną do złożenia daniny krwi. Ale to wiemy, że gdy imperjalizm hitlerowski narzuci nam wojnę, stanie Polak obok Białorusina, Ukraińca i Żyda w jednym szeregu. Aby jednak nasza ludzka machina wojenna funkcjonowała dość sprawnie, trzeba dla niej stworzyć już dzisiaj odpowiednie warunki psychologiczne. **Obłąkańców lub zdrajców,** judzących w jakikolwiek sposób przeciw mniejszościom narodowym w Polsce, należy ukrócić definitywnie i bez żadnych

PAWEŁ KONRAD

WOJNA I POKÓJ

Jest rzeczą znamienną dla obecnego okresu, że do zagadnień stosunków międzynarodowych przywiązuje się naogół dużo większe znaczenie, niż do spraw polityki wewnętrznej. Polityka zagraniczna zagórowała nad polityką wewnętrzną i podporządkowała sobie zarówno partje, jak i świadomość przeciętnego człowieka. Zagadnienie stosunku między państwami staje się zagadnieniem pozornie ważniejszem, niż sprawa wzajemnych stosunków pomiędzy klasami. To wzmożone zainteresowanie dla polityki międzynarodowej wynika z przeświadczenia, że w konfliktach międzynarodowych rozstrzygają się sprawy wojny i pokoju, sprawy życia i śmierci. Zagadnienie wewnątrzpolityczne, społeczne, nie tylko ustępują na drugi plan, ale zostają podporządkowane sprawom polityki zagranicznej. Dzieje się tak dlatego, ponieważ niebezpieczeństwo, napływające z zewnątrz, niebezpieczeństwo faszystowskiej agresji zagraża nie tylko niepodległości, ale zagraża życiu wewnętrznemu państwa stokrotnem spotęgowaniem społecznej niewoli. I dlatego pustoszeją barykady walki klasowej, i dlatego zaludniają się okopy walki z wrogiem zewnętrznym.

Dusza niejednego marxisty jest w rozterce, mózg niejednego socjalisty biedzi się nad dylematem: okopy czy barykady. Opuścić barykady walki klasowej, na których trwało się w czasach pokoju, to przecież znaczy stać się dezerterem walki o wolność, to przecież znaczy zrezygnować z walki z faszystowskim najeźdźcą, to przecież znaczy oddać kraj cały i siebie samego na pastwę największego zła. Wahając się między okopem a barykadą, dusza niejednego socjalisty znalazła rozwiązanie dylematu równie dogodne i proste, jak niewłaściwe: okopy u granic Niemiec i Włoch przemianowała na barykady walki o wolność, na barykady walki między demokracją a faszyzmem.

Linja podziału między reakcją a postępem, linja, którą w czasach pokoju wytyczało się według gospodarczych i politycznych sprzeczności wewnątrz społeczeństwa, znalazła się nagle w innej płaszczyźnie, wytknięta na mapie, według sprzeczności pomiędzy państwami. A jednak linja podziału między dwoma blokami państw nie jest linją walki o inny ustrój lub inną ideologję. Jest to linja podziału między państwami nasyconemi a państwami głodnemi imperjalnych zdobyczy. To nie Hitler wymyślił niemiecki imperjalizm, to raczej niemiecki imperjalizm wymyślił sobie Hitlera, jako swego najlepszego rzecznika. Niemcy kapitalistyczne, jak długo będą kapitalistyczne, będą odczuwały głód kolonij, głód surowców i rynków zbytu. Państwa nasycone, jak długo będą kapitalistyczne, będą broniły swoich kolonjalnych zdobyczy. Przyczyną konfliktu nie są pobudki obrony ustroju, lub pragnienie narzucenia swego ustroju przeciwnikowi. Wbrew różnym pozorom obie strony montują swoje sojusze wyłącznie według cenzusu takiego lub innego ustosunkowania się do sprawy nowego podziału świata, lekceważąc sobie zagadnienia ustrojowe i ideowe. Mit bloków ideowych, stworzony był przez Hitlera, ale mit ten nie posiada żadnego odpowiednika w rzeczywistości i cała legenda „faszinternu" sprowadza się do sojuszu włosko-niemieckiego, sojuszu o wątpliwej przyszłości. Próby organizowania proniemieckich ruchów faszystowskich w różnych krajach nie dały widocznych rezultatów. Niewątpliwie bliższy ideowo Hitlerowi jest faszysta Gajda niż republikanin Hacha, a jednak Hitler przepędził Gajdę i stosuje nawet represje wobec jego zwolenników. Niewątpliwie bliższy Hitlerowi ideowo jest prawicowiec de Kerillis niż socjalista Paul Faure lub radykał Déat, a jednak ci oddają mu lepsze usługi niż zażarty przeciwnik kompromisów Kerillis. Nie inaczej dzieje się po drugiej stronie linji podziału: nie z ideowo-ustrojowych względów montuje się blok angielsko-francusko-sowiecki, nie z ideowych względów udziela Anglja gwarancyj państwom o bardzo różnych régime'ach. Kult Roosevelta dla demokracji wzrasta w miarę jak wzmaga się penetracja Trzeciej Rzeszy w Ameryce Południowej. Nie jest zjawiskiem nowem, że politycy zamiast mówić o koloniach, surowcach, rynkach zbytu, o podziale świata, mówią o ideach, prawach i sprawiedliwości. Nowem zjawiskiem jest tylko, że ci, którzy są najbardziej powołani do demaskowania tego słownictwa, sami je przejmują i propagują. Nie łudźmy się: front linji Maginota, Gibraltaru i Dardaneli nie jest barykadą walki z faszyzmem.

Po doświadczeniach monachijskich wypłynęła nowa koncepcja nowej linji podziału. Wahając się między okopem a barykadą, skonstruowano, a raczej odświeżono pewien stwór, który ma być marxistowską syntezą okopu i barykady. Demokratyczna burżuazja nie przestaje być sojusznikiem, ale wrogiem jest międzynarodowy kapitał finansowy, reprezentowany zarówno przez Hitlera, jak i przez Chamberlaina i Bonneta. Trudno zaprzeczyć, że żyjemy w dobie kapitalizmu finansowego. Trudno zaprzeczyć, że sojusze są w walce niezbędne. Kapitalizm finansowy to nie są jednak machinacje grona ludzi, ale to jest określona fazą rozwoju kapitalizmu wogóle. Kapitalizm finansowy to jest współczesny kapitalizm. Nie można zwalczać trustów, karteli i banków, nie walcząc z kapitalizmem jako całością. Niewątpliwie kapitał finansowy gwałci interesy mniejszej i średniej burżuazji, ale czy sojusz z małą burżuazją przeciw wielkiej jest sojuszem postępowym? Czy mamy zwalczać kartele i trusty w imię ideału małych fabryczek? Czy mamy zwalczać wielkie banki w imię ideału pokątnego lichwiarstwa? Czy mamy, wzorem hitlerowców, zwalczać domy towarowe w imię ideału małych sklepików? Czy mamy przejąć całą hitlerowską demagogję rozróżniania między kapitałem pasorzytniczym i twórczym, złym i dobrym? Przecież sojusze oparte na takiem rozróżnianiu, sojusze, zmierzające do przywrócenia wczesnej, liberalistycznej fazy kapitalizmu, byłyby dosłownie sojuszami reakcyjnemi. Propagując sojusz z burżuazją przeciw kapitałowi finansowemu, postępujemy jak lekarz, któryby usiłował wmówić pacjentowi, że amputacja główy uzdrowi organizm...

Nie trzeba się dziwić, że burżuazyjny rząd jest rzecznikiem interesów kapitału finansowego, odpowiada to naturalnej hierarchji interesów klasy rządzącej. Trudno, aby magnatom wielkiej finansjery przewodzili drobni fabrykanci, sklepikarze i pośrednicy. Ale nie trzeba też spekulować na to, że rząd kapitału finansowego zdradza interesy własnej klasy. Dość mamy przykładów, że w decydujących momentach interes burżuazji jako klasy bierze górę nad interesami poszczególnych jej grup i to zarówno w skali krajowej, jak i ogólnoświatowej. Nie dzieje się tak zawsze, ale tych rozbieżności przeceniać nie należy. Hitler nie jest tylko rzecznikiem Kruppa, jest rzecznikiem burżuazji niemieckiej jako klasy i jest nim właśnie wtedy, gdy doraźne interesy poszczególnych grup burżuazji poświęca ogólnym i dalekim celom samego ustroju.

Wypadki monachijskie przekonały nas, że Hitler ma swoich sojuszników również w obozie demokracji. Potępiliśmy tych sojuszników, jako reprezentantów kapitału finansowego. Czy trzeba nowego Monachjum, aby przekonać nas o tem, że cały kapitalizm jest sojusznikiem Hitlera nawet wtedy, gdy jest wrogiem niemieckiego imperjalizmu. Zważmy bowiem: roszczenia imperjalne Niemiec zagrażają mocarstwom Zachodu. Ale mocarstwa te wiedzą przecież doskonale o tem, że kraj taki, jak Niemcy, kraj wysoko rozwiniętego przemysłu, pozbawiony jednak surowców, kolonij, rynków zbytu, nie może z imperjalnych roszczeń zrezygnować. Nie wyperswadował Niemcom tych roszczeń traktat wersalski i nie wyperswaduje im tego żaden inny traktat, bowiem warunki samego ustroju prą do imperjalistycznej ekspansji. Roosevelt wie doskonale, co mu wypada czynić na własnem stanowisku, ale zamianowany kanclerzem Trzeciej Rzeszy wnet spojrzałby na świat żarłocznem, hitlerowskiem spojrzeniem. Zmiana ustroju Niemiec położyłaby kres niemieckiemu imperjalizmowi, ale do takiej zmiany żadna burżuazja ręki nie przyłoży i każda się próbom takiej zmiany przeciwstawi. Ta sama burżuazja, która ze strachu przed kiereńszczyzną zawiesiła blokadę nad republiką hiszpańską, nawet myśleć nie chce o widmie niemieckiego Negrina. Żaden komitet nieinterwencji nie odmówi rządowi Adolfa Hitlera legalności istnienia, żaden rząd burżuazyjny nie pośpieszy z uznaniem niemieckich powstańców. W Niemczech, w sercu Europy, kto wie, jaki potop przyszedłby po Hitlerze.

Hitler wie o tem, jaką odgrywa rolę i potrafi szantażować świat groźbą własnego upadku. Ale mocarstwa Zachodu nie pójdą przecież na wszystkie ustępstwa i zagrożone w swoim stanie posiadania przystąpią do wojny. Charakter wojny zależy jednak nie tylko od tego, przeciw komu ona jest prowadzona, ale i kto ją prowadzi. Wojna imperjalistyczna nie ma na celu ostatecznej likwidacji konfliktów, unormowania stosunków, panujących na świecie, ma ona na celu tylko odrzucenie wstecz przeciwnika, ograbienie go i osłabienie. Jeśli mocarstwa Zachodu zdobędą się na wojnę, to będzie im przyświecał cel jeszcze okrutniejszego Wersalu, niż był ten, który narzucono Niemcom po ostatniej wojnie, tworząc podstawę nowych sprzeczności. Nie wolno też zapominać o jednem: Anglja nigdy nie rezygnuje ze swej zasady utrzymania równowagi sił na kontynencie. Anglja wkracza na kontynent przy pomocy swej dyplomacji lub swej armji tylko wtedy, gdy równowaga przechyla się na jedną ze stron i tylko poto, aby tę równowagę przywrócić. Emigracyjny pisarz niemiecki Klaus Bühler w swej książce o polityce zagranicznej Anglji („Englands Schatten über Europa. 300 Jahre britischer Aussenpolitik". Paryż, Editions Nouvelles Internationales, 1938), wykazuje, że Anglja jeszcze przed zwycięstwem nad Niemcami w wojnie światowej dążyła do pohamowania francuskich apetytów. Anglja wkroczyła na kontynent tylko poto, aby poskromić nazbyt wygórowane roszczenia Niemiec. Poskromiwszy je, dokładała wszelkich starań, aby dźwignąć Niemcy z upadku i przeszkodzić hegemonji Francji. Chamberlain, który nosi monachijski parasol i przy pogodzie, nie zwinie go również podczas wojny i kto wie, czy nie postara się w odpowiedniej chwili o zawarcie osobnego pokoju z Niemcami, pozostawiając im wolną rękę w parciu na Wschód. Trudno przewidzieć wszystkie możliwości dalszego rozwoju, tem bardziej, że istnieją jeszcze kraje, jak Jugosławia, którym Anglja jakoś niczego nie gwarantuje. Trudno przewidzieć, jak się potoczy historja, ale jedno jest pewne: burżuazja jako całość i kapitalizm jako ustrój, obawiają się upadku niemieckiego faszyzmu, obawiają się najbardziej tego, czego najbardziej pragnie lud.

Istnieją fantaści, którzy marzą o zupełnem zniszczeniu narodu niemieckiego, o rozkawałkowaniu i skolonizowaniu tego kraju. Znajdują się nagle ludzie, którzy roszczą sobie prawo do ferowania wyroków śmierci na całe narody. Odrzućmy jednak buńczuczną, chorobliwą egzaltację, nie przechwytujmy faszystowskich zamysłów i faszystowskich uczuć. Niemcy, kraj wspaniałego przemysłu, wspaniałej cywilizacji, kraj wysokiej kultury, kraj pełnego sił życiowych narodu, nie „zasłużył sobie" na zniszczenie i na upodlenie jeszcze większe, niż to, jakie mu przynosi faszystowska dyktatura. Nie o to chodzi, aby Niemcy zniszczyć, ale o to, aby je wyzwolić, o to, aby dać temu krajowi ustrój godny stopnia jego rozwoju.

Nie jest dla nas rzeczą obojętną, czy zwycięzca, wkraczający do faszystowskiego kraju, przynosi ludowi niewolę, wyzysk, upokorzenie, czy też przynosi wolność i dobrobyt, podając dłoń do walki z faszyzmem. Nie jest dla nas rzeczą obojętną, czy wojna pobudza wyzwoloną kraj do rozkwitu, czy też odrzuca go wstecz. Ale jeśli się chce wnieść wolność do kraju, to trzeba ją przynieść ze sobą. I to jest sprawa najważniejsza.

Bo gdyby nawet szala zwycięstwa miała przechylić się na stronę hitleryzmu, to i wtedy nie jest rzeczą obojętną, czy witają zwycięzcę chlebem i solą przeróżne Hachy, czy też witają go zaciśnięte pięści ludu. Nie jest rzeczą obojętną, czy zwycięzca wkracza do kraju nędzy i ucisku, czy też do kraju dobrobytu i wolności. Wojna współczesna nie jest tylko zagadnieniem armji i sprzętu wojennego, ale zagadnieniem całej sytuacji kraju, jego struktury, żywotności, nastrojów ludności. O tem wie każdy sztabowy oficer, ale zapomina niejeden polityk.

Kapitalizm nie jest sojusznikiem w walce z faszyzmem. Tożsamość okopów i barykad jest tylko pozorna. A skoro tak jest, to gdzie ma się podziać dusza socjalisty? Jak rozstrzygnąć dręczący dylemat? A może błędem jest samo postawienie dylematu? Jest błędem. Nie chodzi bowiem o wybieranie między okopem a barykadą. Chodzi o to, aby okopy u granic kraju stały się naprawdę barykadami wolności. Demokracja ma również swoją politykę okrążenia, okrążenia hitleryzmu wolnością.

Kiedy płonie las i ogień zatacza coraz szersze kręgi, niedobrze jest chować się za okoliczne drzewa, niedobrze jest zawierać sojusz z materjałem łatwopalnym. Każde okoliczne drzewo ma „przeciwpożarowe nastawienie" i przysięga, że nie przepuści ognia. Przysięga tak długo, aż nie padnie jego ofiarą. A przecież najlepszym sposobem powstrzymania ognia jest wykarczowanie drzew wokół płonącego miejsca. Takie karczowisko jest zaporą po której nie przejdzie żaden ogień. Nawet pojedyńcze pozostawione drzewka (np. z gatunku Hacha) przenoszą ogień. Nie wystarczy demaskować je poniewczasie, trzeba je zawczasu wykarczować. Taka praca ma wprawdzie wszelkie pozory sabotażu, wspierania niszczycielskiej siły ognia, a jednak jest to jedyna dalekowzroczna metoda powstrzymywania faszystowskiej pożogi.

Gdy dwóch mówi to samo, nie jest to to samo. Wojna, o której mówią Chamberlainy i wojna, o której mówi lud, to dwie różne wojny. I nie o to chodzi czy masy ludowe mają zgodzić się czy nie zgodzić z decyzją Chamberlainów, ale chodzi o to aby nikt nie decydował bez nas o nas, chodzi o własne prawo do decydowania o wojnie i pokoju. Osobnego własnego ministerstwa spraw zagranicznych masy nie posiadają. Wpływ na politykę zagraniczną mogą więc uzyskać tylko wtedy, jeśli uzyskały decydujący wpływ na politykę wewnętrzną. I dlatego niema sprzeczności między okopami walki z faszystowskim zaborcą, a barykadą walki o wolność. Przeciwnie: istnieje ścisła zależność. Od losów tej wewnętrznej walki o wolność zależy bowiem charakter wojny, jaka toczyć się będzie w okopach. I dlatego demokracje krajów, zagrożonych faszystowską agresją, powinny dołożyć wszystkich starań aby wojna, która wybuchnie, stała się wojną między demokracją a faszyzmem. Abyśmy bronili nie haseł wolności ale wolności **już istniejącej**. Aby przeciwniemieckie okopy były barykadą wolności.

---

względów. Robić, co się tylko da, dla rozbudzenia w masach ukraińskich, żydowskich i białoruskich poczucia najgłębszej solidarności z narodem polskim w jego obronie przed hitlerowską inwazją. Wytworzyć wśród mas tych przeświadczenie o ich własnym interesie obronnym wobec zakusów pangermanizmu. Wytrącić z rąk wroga oręż propagandowych obietnic, nie tylko przez demaskowanie cynicznej jego obłudy, ale i przez realną politykę naprawiania krzywd.

W żaden inny sposób nie unikniemy rezultatów przekształcenia Zakarpacia na hitlero - ukraiński Piemont. Dlatego z taką uwagą i taką troską obserwujemy wszystko, co się dzieje we Lwowie. Wszakże jest to w Polsce największe skupisko ludności ukraińskiej, a trzecie co do wielkości skupisko ludności żydowskiej.

Śmierć Markusa Landesberga wywołała w kraju wstrząs wyjątkowo głęboki i wyjątkowo powszechny. Nie zdołał ukryć prawdy mętny, krętacki komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej. Zrozumiano, nawet w kołach ulegających endeckim sugestjom, że zamordowanie żydowskiego studenta na eksterytorjalnym terenie politechnicznym w chwili, gdy wróg wznosi nad Polską opancerzone pięści, to doskonała robota „pour le roi de Prusse". Zrozumiano, że zbrodnia jest większa, niż kiedykolwiek, a bestjalstwo tem bardziej wyzywające. W głębokim smutku pożegnano jedną jeszcze ofiarę „zabawy w Hitlera". Jakgdyby to była pierwsza ofiara nadciągającego wielkiego konfliktu...

Więc nie nadarmo przelano twą krew i nie darmo oddałeś życie — chłopcze pogięty!

Zygmunt Jarosz

ALEKSANDER DAN

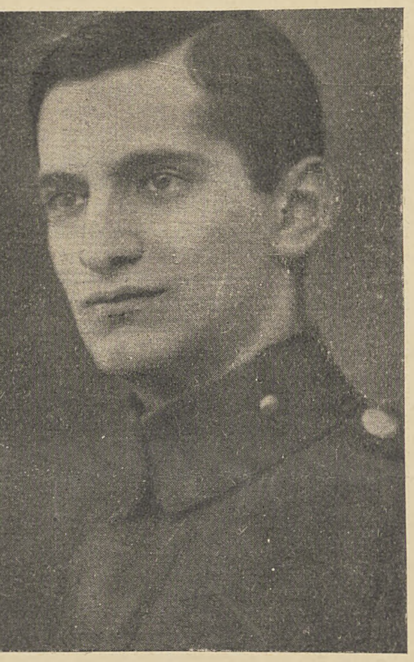
Przypominam Jana Stura

To było prawie nazajutrz po wojnie, gdy zaczęły do nas dochodzić pierwsze zeszyty poznańskiego „Zdroju". Wśród ówczesnej młodzieży literackiej snuły się jeszcze gęste opary „młodopolskiej" poezji, która uczyła najprostsze doznania wyrażać bardzo sztucznie, a w dobieraniu materjału poetyckiego pilnie baczyć na to, by najlżejsze tchnienie bezpośredniości nie przypominało nam, że żyjemy w wymiarach rzeczywistości. Każdy z nas miał za sobą lata wojny; ten trudny i krwawy stage wyostrzył w nas głód konkretności. Pamiętam, jaką podniecającą pożywką był dla naszych „nowych" zmysłów piękny poemat Staffa, „Szkoła". Nie tyle przez swój wspaniały patos sponiewieranego człowieczeństwa, ile dzięki kilku terminom, które miały zapach naszych dni i przemawiały językiem przeżytych przez nas trudów. Nie były to już owe mgiełkami zawoalowane słowa - trupki, które deprawowały przez lata cały obszar naszej wyobraźni, ale zwyczajne, proste słowa o niespotykanej dotychczas ekspresji, słowa siły i zaufania do siebie, odtrutki na wszelakie objawy kalectwa duchowego i tchórzliwego wymykania się męskim zagadnieniom.

Poznański „Zdrój" w swym początkowym etapie przyniósł zapowiedź wyzwolenia się spod władzy sztuczności i konwencji i przemycając do nas pierwsze zdobycze niemieckiego ekspresjonizmu, zaczął głosić pogardę dla wybujałego przerostu formy, pod której nieznośnym ciężarem dogorywała dotąd gwałcona treść. Posłannictwem nowego artysty było według „Zdroju" nurkowanie wgłąb, wżeranie się w najgłębsze tajniki bytu, myszkowanie po jego najbardziej zakonspirowanych zakamarkach, w przeciwieństwie do starej sztuki, która ślizgając się po powierzchni życia, ograniczała się przeważnie do mniej lub więcej kunsztownego opiewania jego zewnętrznych objawów. Ówczesnej publiczności, mówię o tej, która uczęszczała tłumnie na imprezy literackie, podobało się przedewszystkiem to, że przestano jej podawać celebralne „kruże mistyczne", które wszystkim bez wyjątku zbrzydły. Większem powodzeniem cieszył się raczej twórczy bełkot nowych poetów, którzy posługiwali się językiem codziennym, aniżeli najwymyślniejsza kunsztowność słowa, pozbawionego pokrycia w świecie realjów. Z podziwu godnem łakomstwem szeroka publiczność zaczęła garnąć się do nowej sztuki, wdzięczna za usunięcie z Parnasu szyldu z napisem „Wstęp tylko dla wtajemniczonych". Powiew wspaniałej poezji gościńców Whitmana, pierwsze manifesty Werfla o fraternizacji narodów i ras, głęboko ludzkie dramaty Hasenclevera — wszystkie te nowości tworzyły podłoże dla zbliżenia między twórcą i odbiorcą. Tragedja „Młodej Polski" została niejako demonstracyjnie zlikwidowana w salach odczytowych, gdzie poeci w mieszczańskich tużurkach, bez patetycznych krawatów i żałobnych peleryn, komunikowali urzędnikom prywatnym, stenotypistkom i drobnym rękodzielnikom swe najtajemniejsze wizje i lucyferyczne sny w sposób tak jasny i ludzki, że nawet portjerzy, podekscytowani zagadkami bytu, bili zapamiętale brawo i domagali się naddatków. Najbardziej dyskretne porachunki z Bogiem i życiem załatwiano nie w mrocznych krużgankach eksterytorjalnych zamczysk i tumów, lecz na ulicy, w jasny dzień, wśród wrzasku przechodniów i nawoływań handlarzy drobiu. Poeci wołali z trybun: „precz z napuszonymi zawodowcami, każdy może być poetą". Wzrosło samopoczucie szarej publiczności i wślad za tem poezja przestała wydawać brzęk wytartej monety. Poeci próbowali urzeczywistniać norwidowską „demokratyczną" wizję o fortepianie Chopina na bruku.

Wśród najbliższych współpracowników poznańskiego pisma figurowało również nazwisko Jana Stura. Pierwsze jego prace zajmowały się twórczością francuskiego pisarza Józefa Peladana oraz trylogją powieściową Tadeusza Micińskiego. Trzeba przyznać, że Jan Stur przejął się w początkach swej pracy pisarskiej wieszczbiarską atmosferą Poznania. Temu typowemu pogrobowcowi romantyzmu, zatopionemu po uszy w mistyce Słowackiego i Swedenborga, zdawało się, że w Poznaniu znalazł odpowiedni dla siebie klimat psychiczny. Poznań pociągał go swą rzekomą wzniosłością, łudził pozorami głębokiej powagi i związał z kilkoma pisarzami, w których wartość wierzył z jemu tylko właściwym żarem. Wierzył niezachwianie w twórczość Zenona Kosidowskiego, którego niesłychanie zgęszczone i trudne do odcyfrowania wizje poetyckie zamknięte były w epigramicznym prawie kształcie. Analizował niemniej skomplikowane utwory Bederskiego, Kubickiego, Olwida, omawiał entuzjastycznie hymny Wittlina. Duży wpływ wywierali nań również plastycy, zgrupowani dokoła „Zdroju". I tu, podobnie jak w poezji, panowała treść nad formą, co stało się zresztą źródłem niejednej tragedji twórczej. Jakże często starano się fałszywą interpretacją ascetyzmu w sztuce uzasadniać najzwyczajniejsze braki organiczne artysty i jego niezdolność do plastycznego odtwarzania swych doznań.

Już wówczas jednak, w oparach fałszowanego mistycyzmu Jerzego Hulewicza, zaczęła się w Sturze krystalizować świadomość o posłannictwie społecznem sztuki, chociaż jeszcze nie w tym aspekcie, w jakim się dziś nam przedstawia. To wszystko było jeszcze na koturnach, zbyt namaszczone, otoczone mrokami fatalizmu, bez zdolności do męskiej afirmacji życia w jego najgłębszych objawach. „Świadomi swej niedojrzałości ludzie jeszcze młodzi, zazdroszczący Homerowi ślepoty", zamykający oczy na „barwną grę złud", byli zbyt zajęci sobą, swym wewnętrznym zamętem, by mogli mieć oko na sprawy kształtowane przez rzeczywistość. Za dużo mówili o rewolucji wewnętrznej w świecie konkretnym. I to ich wieczne borykanie się o przerobienie siebie w aniołów, siłą rzeczy złudne i beznadziejne, doprowadzało do nieprzerwanego krakania nad losem świata, do teorji katastrofizmu, do jeremjad, śpiewanych na urojonych ruinach, do wieszczenia powszechnej zagłady. Nie wiedząc, jak zabrać się do walki z rzeczywistem złem, marnowali siły na szamotanie się ze złem wyimaginowanem. Własną niemoc musieli uzasadniać daremnością wszelkich wysiłków, a znajdowali pocieszenie w żałosnem kreowaniu ad hoc teorji przejściowości, czy, jak to ktoś nazwał, teorji lirycznych mostów, o których już kiedyś śpiewał dytyramby wieszcz Nietzsche.



Jan Stur

Jan Stur był typowym pisarzem przełomu. Tragizm jego pracy twórczej i wszystkie z nim związane klęski wynikają z tego właśnie faktu. W okresie, gdy jego indywidualność pisarska zaczęła się zaledwie formować, w sztuce panowało niebywałe zamieszanie, co pewien czas zgłaszały swe prawo do życia nowe preparaty poetyckie, zachwalające w niezbyt skromnych reklamach swoje jedynie zbawienne metody organizowania odmienianego we wszystkich przypadkach chaosu. Stur miał niezwykle wyostrzony umysł i reagował bardzo czule na nowości. Każda nowa próba odświeżenia lamusa środków poetyckich i aparatu odbiorczego twórcy znajdowała w nim żarliwego entuzjastę. Podczas gdy w pierwszym swym tomie „Anima nostra" zamknął swe pierwsze widzenia świata w tradycyjnych strofach, drugi zbiór „Tryumfy" świadczy już o przejęciu się nowemi zdobyczami ekspresjonizmu.

Nie zamierzamy tu pisać apologji, więc powiemy odrazu, że to, co Stur brał od ekspresjonistów nie zawsze świadczyło o trafnym instynkcie twórcy. Berlińska grupa „Die Aktion", rozbijając w ślepej zaciekłości dotychczasowe normy metryki i wprowadzając na jej miejsce nerwową, nieskoordynowaną i jakże często najzupełniej przypadkową budowę strof, była przekonana, że udaje jej się w ten sposób oddać wiernie rytm współczesności. Ale na tem nie kończyła się jej inowacja. Ekspresjoniści stali na stanowisku, że zadaniem nowej poezji jest nie odtwarzanie zewnętrznych i zdaniem ich nieistotnych wydarzeń, ale „nieskończoności, irracjonalności i chaotyczności świata". Ten mętny program umożliwiał posługiwanie się materjałem poetyckim bez kontroli logiki artystycznej, z wykluczeniem jakiejś naczelnej zasady organizacyjnej. Stur w tym etapie swej twórczości buduje poematy zgodnie z hasłami ekspresjonizmu, który odczuwał paniczny lęk przed konkretnem określeniem, uważając ten sposób tworzenia za rezygnację z tęsknot metafizycznych na rzecz „poziomości" i materjalizmu. Abstrakcja — to był odblask rzeczy wiecznych, a pogrobowcy Micińskiego, do których zaliczał się Stur, byli przekonani, że to odbarwianie słów z ich konkretnej treści nadaje nowej poezji piętno wielkości. Charakterystyczna pod tym względem była reakcja Stura na Wittlina „Hymn o łyżce zupy". Dla nas wszystkich „łyżka zupy", którą autor podaje umierającemu na pobojowisku żołnierzowi, była znakomitą przenośnią, której rozpiętość sięgała od „gehenny mąk wojennych aż do braterskiej miłości i wszechnadziei" — jak pisał Stur o innym hymnie Wittlina — ale dla autora „Tryumfów" oznaczała ona odejście dobrowolne od źródła łaski i zbawienia. Tragiczne to nieporozumienie znalazło też później wyraz w okrzyku jego bohatera: nie zupy, lecz chrztu! — A chodziło przecież tylko o synonim dla jednej i tej samej rzeczy.

I tak brnąc przez niewypowiedziane trudności, borykając się bez wytchnienia z naleciałościami i zgubnym wpływem obcego mu środowiska, w wiecznem poszukiwaniu za własnym wyrazem, Stur zabiera się do pisania swego głównego dzieła, które pozostało zarazem jego ostatniem: „Człeka wędrownego".

„Człeka wędrownego tragedja radosna", pisana w latach 1921—22, składa się z trzech części: „Żywot w piekle", „Tragedja czyśćca" i „Powrót do raju". W tych dantowskich alegorjach zamknął Stur cały bezmierny trud swego krótkiego życia, wszystkie jego wzloty i porażki.

Chociaż byliśmy świadkami powstawania tego dzieła, spróbujemy patrzeć na nie oczyma dzisiejszych czasów, przykładając doń miarę doświadczeń, które przyniosły nam gruntowne przewartościowanie starych tablic. Co nas uderza obcością, co przekształca w procesie powtórnego przeżywania jego zawartości emocjonalnej? Tu i ówdzie język. Nieoczyszczony należycie z naleciałości młodopolskich, często brany od innych na doraźny użytek, nieprzepalony własnem tchnieniem słowotwórczem. Brak często ekwiwalentu formy dla nowoczesności koncepcyj. Dziwna rzecz: autor, który znajdował się w samym wirze nowych prądów, gdy napiera nań jakieś ważne zagadnienie, wyraża to językiem passeizmu. Dalej spotykamy tu często przenośnie, które tym razem wzięte od ekspresjonizmu, rażą jednak zbyt wielką dowolnością. Był to zresztą jeden z najgłówniejszych błędów nowej sztuki, że usiłując mocą nowych skojarzeń rozszerzyć naszą wyobraźnię, zaludniała nasz umysł upiorami, słowami choremi na elephantiasis. Tak, wszystkie te objawy spotykamy u Stura. A jednak, gdy czytamy obecnie te strofy, zapominając o ich drugorzędnych usterkach, czujemy jak żar jego słowa i wizyj bije w nas tą samą mocą co niegdyś, że oszałamia nas ten ogniem trawiony patos humanizmu, wielkości, wiary i najgłębszej miłości dla człowieka. Co więcej, dziś, gdy zalani po szyję nikczemnością i barbarją, podwójnie wrażliwi na prawdziwy refleks wielkości w sztuce, na manifestację człowieczeństwa w jego najczystszej postaci, dzieło Stura wydaje się nam bliższe, niż w okresie, w którym powstało. Ówczesny okres względnej stabilizacji nie był odpowiednim klimatem, w którym dzieło takie jak „Człek wędrowny" mogłoby liczyć na szeroki oddźwięk. Dopiero dzisiejszy dzień ze swym zamętem i napięciami przybliża nam widzenia i nawoływania Stura, pogłębia jego głos, czyni go zrozumiałym i bardziej bezpośrednim.

Apokaliptyczne reminiscencje autora nie powinny nikogo mylić. Stur myślał w kategorjach politycznych jeszcze wówczas, gdy większość dzisiejszych pisarzy nie wychodziła poza obręb swych misternie budowanych wieżyczek. Nie wahamy się powiedzieć, że ten nerwowy, potargany rytm jego wierszy, ta paląca niecierpliwość, te spazmatyczne wybuchy rozpaczy i ekstatyki, któremi przemawia „Człek wędrowny", były podyktowane siłą jego jasnowidzenia. Stur wiedział o tem i pisał niejednokrotnie w wielu artykułach i rozmowach, że ówczesny chwilowy układ stosunków polityczno-społecznych grozi prędzej czy później załamaniem, po którem musi dojść do generalnego rozstrzygnięcia między dwoma systemami, między dwoma światami. I podczas gdy inni, spragnieni przedewszystkiem spokoju, woleli widzieć świat dookolny w postaci uporządkowanych grządek, strzeżonych przez policjantów, on żył jak na wulkanie, wiecznie targany niepokojem, wpatrzony w nawałnicę, która dla nas dziś dopiero stała się widoczna:

„Dźwignijcie mnie na nosze,
W takt bitwy pragnę krzyczeć.
Czternasty lipca ciągle trwa,
Czternasty lipca dziś co dnia".

A zaraz potem: „cudownie zgniły jestem jak szmat". Przyszła bowiem długo przyczajona gruźlica i powaliła go na łóżko, z którego nie miał już więcej powstać. Wtedy, pozbawiony możności działania swem dziełem, prowadził dalej pracę człowieka. Dopiero teraz mógł w pełni dokumentować swą przypowieść o „Dzidach Winkelrieda". Z najczulszą troską i miłością odnosił się do każdego młodego pisarza, który zwracał się do niego o radę, o wskazówkę. Przewijali się przez jego mieszkanie młodzi chłopcy, którzy próbowali skandować pierwszy raz swe marzenia, wytwornisie w monoklach, dla których poezja była próbą wydźwignięcia się z kompleksu niższości, wygadani fachowcy ze skomplikowanym systemem szuflad zamiast mózgu. Przychodzili, przynosząc ze sobą uprzykrzony gwar giełdy literackiej i jej jednodniowe notowania, wychodzili cisi i wstrząśnięci. Stur patrzał już wówczas z oddalenia, więc widział może prawdziwiej. I dzieło jego, idąc w ślad za jego cierpieniem, stało się prostsze i bardziej ludzkie.

Umarł w 28 roku życia i dziś upływa już szesnaście lat od jego śmierci. Czy został po nim jakiś ślad, czy odblask jego dzieła żyje tylko wśród kilku jego przyjaciół, nigdzie pozatem? Ukazała się niedawno książeczka Ignacego Fika: „Dwadzieścia lat literatury polskiej". Są w niej wzmianki o autorach kilkunastustronicowych zbiorków wierszy, które zakończyły swój żywot, nim jeszcze zdołały ukazać się w druku, o pisarzach, których jedyną bodaj kwalifikacją literacką jest okoliczność, że wydali książkę — o Janie Sturze niema ani słowa. Mógł „Człek wędrowny" nie odpowiadać wymaganiom artystycznym Fika, na to niema rady. Ale ktoś kto przystępuje do rejestrowania zjawisk literackich w Polsce niepodległej, nie może przeoczyć książki „Na przełomie", w której Jan Stur po raz pierwszy ujął w syntetycznej formie całokształt nowej poezji polskiej, w której utorował drogę zdobyczom nowej sztuki i prostował ścieżki dla idącego pokolenia literackiego. Książką tą, która zaczyna się od Whitmana i Rilkego i poprzez Micińskiego, Żeromskiego i Kasprowicza dochodzi do Zegadłowicza, Stur położył podwalinę pod współczesną krytykę polską. O książce tej Fik również nie wspomina. Przeoczyli również Stura autorowie świeżo wydanej „Antologji współczesnej poezji polskiej".

Przygnębiająca jest myśl, że życie i praca takiego człowieka, jak Jan Stur, nie zostały utrwalone choćby w formie wzmianki w antologji. Że zachowały prawdę wyryte na płycie grobowej smutne i dumne słowa:

...Jeśli nie dojdę,
cóż?
nie wszystko ze mną skona.
Zostanie mej wędrówki znak:
rosnące wzwyż ramiona!

MARJAN PANKOWSKI

WIERSZ O NAS

Czarny czerwiec milczał. Dymił moczar.
Smugi mgieł podziemnych marły
[w trzęsawiskach;
niebiesko połyskiwały świetliki błędne
i strop srebrnemi połyskał
granatowy.
W północ zbliżyłem gwiazdy do twych oczu,
do ust kwiat nocy — w szypułce żołędnej
rosę olchową.

A w iwach, księżycowych iwach
coś zapachniało nad łęgiem,
coś zaszumiało ciekłe jak oliwa,
czarne jak węgiel.
Pamiętasz mchu syczącą grzązkość
i zapach rdzawych błot,
drogę mleczną zaplątaną w gałązkach,
gacków czarny, motyli lot
i bicie o ciszę złocistych ciem.....

W strumieniu drzewne cienie
zakwitały opalową rozpaczą gwiazd.
A nam — ptakom dotkniętym smutnieniem
bolesny nawet wydawał się czas.
Powiedz!
Zbłąkani w milczeniu czy się odważą
nieść dalej niedosyt i nadmiar?
....Gdyby ślad bólu tylko zostawał
[na twarzach...
Co po nas zostanie, gdy na smukły jałowiec
brzask lila opadnie?

Rano pasące się gniade
zatrą na łące rosistej i pawiej
nasze zielone ślady
na srebrnej trawie.
Tylko na dnie strumiennem, mulistem
będą pisały nasze imiona
wirujące, brzezinowe listki;
zielone trójkąty w coraz większych,
[gasnących kołach.
Skrzek żabi — białe, wodne grona
będzie chwiał się w przybrzeżu cienistem.
I trzmiel naprózno będzie w trawach wołał.

Jeszcze o schadzce
będą wiedziały kaczeńce i potrącane kosaćce.
Kaczeńce — a może cytrynek roje
na łąkach leżą trzepotliwą gęstwą.
Obłok biały nad strumieniem steruje
a może to bocian zieleń przebija.
— Gubimy siebie w nas samych zbyt często.
Młodością gorzką, jak pąki olch codzień
[się upijam.

SZKOŁA, TEATR I RADOŚĆ...

Przedstawienie teatru szkolnego „Muza“ gimnazjum Janiny Świąteckiej: „O lisie sztuka sceniczna, prawdziwa i fantastyczna“ (według „Lisa Przechery“ — „Reineke Fuchs“ **J. W. Goethego**). Opracowanie literackie prof. **Heleny Silbercweigowej.** Reżyserja i opracowanie plastyczne **Natalji Landauowej.**

Teatr szkolny nie jest w Polsce zjawiskiem nowem. Istnienie szeregu prac teoretycznych oraz specjalnego miesięcznika „Teatr w Szkole“, wydawanego od 5 lat przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, zachęca napozór do twierdzenia, że teatr szkolny w Polsce kwitnie. W samej Warszawie odbywają się w ciągu roku szkolnego dziesiątki, setki przedstawień urządzanych przez szkoły wszelkich rodzajów i typów. A jednak, gdy się co jakiś czas przychodzi na te przedstawienia, ogarnia widza przeważnie uczucie wstydu. W teatrach bowiem szkolnych, tak samo jak i na innych terenach kontaktu dzieci ze sztuką, wyżywają się i dziś jeszcze kabotyni o zawiedzionych ambicjach literackich, malarskich czy muzycznych. Brak szerszej kontroli artystycznej, usprawiedliwianie każdej nieudolności względami pedagogicznemi czy narzekaniem na szczupłość środków materjalnych doprowadza do absurdów szczerze irytujących. Nie chcąc poprzestawać na ogólnikach, pozwolę sobie przytoczyć dwa tylko (z braku miejsca) szczególnie jaskrawe przykłady. Oto gdy urządzano obchody ku czci Wyspiańskiego w 25 rocznicę zgonu poety, dwa prywatne gimnazja stołeczne (męskie i żeńskie) zainscenizowały wspólnie fragmenty „Wesela“ w ten sposób, że najważniejszy moment stanowiła piosenka „Albośmy to jacy tacy“. A co się dzieje na niższych szczeblach? Jest w Warszawie publiczna szkoła powszechna posiadająca wspaniałą salę teatralną i dwie dość liche dekoracje (jedna wyobraża las, druga — miasto). Wiele innych szkół powszechnych urządza swe przedstawienia w tym lokalu i każdy z gości uważa za swój obowiązek wyzyskanie owych dekoracyj. Mamy więc do czynienia z osobliwą syntezą malarską lasu i miasta, stworzoną przez szkolnictwo powszechne. Nie radzę jej oglądać! Dlatego każde przedstawienie szkolne choć trochę odbiegające od ogólnego poziomu staje się wielkiem wydarzeniem i artystycznem i pedagogicznem. Jeżeli zaś zdarza się przedstawienie przewyższające poziomem teatr zawodowy, uznaje się je niemal za cud.

Kto odpowiada za krzewienie wśród dzieci lichoty, za pastwienie się nad niemi ludzi pozbawionych wyobraźni i smaku? Odpowiedź na powyższe pytanie wykracza, niestety, poza ramy tych uwag. Formułowanie oskarżeń jest pracą niebezpieczną, niewdzięczną i nie zawsze rozumną, bo któż np. mógłby żądać w dzisiejszej Polsce od przeciętnego nauczyciela, aby miał czas i pieniądze na teatry, wystawy, koncerty? Cieszmy się, jeżeli uda mu się zachować normalny kontakt z książką. I cieszmy się razem z nim, gdy do jakiejś szkoły zawędruje prawdziwy artysta, by pomóc w budowaniu innego, lepszego świata...

Piękne przedstawienie „Muzy“ jest ciekawym przykładem, co prawdziwy artysta może zdziałać na terenie szkoły i jakie napotyka tam przeszkody. Nieliczne wady „Sztuki o lisie“ były dla mnie niezmiernie pouczające, gdyż wynikały z walki między ironicznym amoralizmem bajki a natrętnym morałem wychowawczym, gdyż wynikały z walki między wielką, nadrzędną racją estetyki a doraźną, użytkową racją pedagogiki.

We wszystkich bajkach, od Ezopa poprzez Lafontaine'a, Krasickiego, Trembeckiego, Kryłowa aż do dni dzisiejszych, szukali ludzie ucieczki przed sumieniem w nadawaniu zwierzętom własnych dusz. Zwierzęta przecież nie mogą protestować przeciw nikczemności człowieka, który zmusza je w bajkach do wzajemnego okłamywania się i oszukiwania. Od bajek zaś zaczyna się nauka dzieci całego świata. Nie inaczej dzieje się w utworze Goethego i widowisku „Muzy“. Lis, który (w pierwszym obrazie widowiska) zdobywa łup zapomocą najrozmaitszych zbrodni i zażywa potem szczęścia rodzinnego (obraz 2), zostaje naskutek skarg prawie wszystkich zwierząt skazany przez króla — lwa na szubienicę (obraz 3) i w ostatniej chwili uwalnia się z niej, podstępnie obiecując monarsze wskazanie olbrzymich ukrytych skarbów. Przemoc, gwałt, zdrada tryumfuje!... Jakżeż to zadanie rozwiązał reżyser szkolny?

Jadąc do „Ateneum“ na „Sztukę o lisie“, przypuszczałem, że znów zobaczę odwieczny banał: dzieci poprzebierane bez ładu i sensu za zwierzaki w żałosnych pseudobaletowych podrygach. Gdy jednak po prologu podniosła się kurtyna i zacząłem śledzić bieg akcji, ogarnął mnie niepokój. Przecież tu każdy rekwizyt został przekonywająco, głęboko uzasadniony, a to rzadko się zdarza nawet w teatrach T. K. K. T. W pełnej wdzięku interpretacji mogłem dostrzec odrazu przewodnią myśl reżyserki: artystyczne uzasadnienie, wytłumaczenie antropomorfizmu bajki zapomocą groteskowej stylizacji. Pokutniczą ucieczkę człowieka do skóry zwierzęcej wydrwiono subtelnie i nielitościwie. Im bardziej wyrafinowany był żart, tem dotkliwszą czuło się chłostę.

Na scenie tymczasem coraz śmielej figlowały dzieci, dekoracje, rekwizyty, muzyka... Cieszyło się tekturowe słonko, które wysunęło się na lince, by wziąć udział w zabawie. Radował się nawet pluszowy miś, choć go mocno biły dziewczęta za najście na ul... Smuciła mnie co chwila świadomość, że czaru tego prymitywu nie potrafi zrozumieć, odczuć większość widzów — nawet dorosłych, i natychmiast pocieszyła radość, którą zabawa sceniczna coraz bardziej wyzwalała w młodych aktorkach... aż nadbiegł złośliwy finał — uwolnienie zbrodniarza od kary. Więc jak to? Sprawiedliwości nie stało się zadość? Młodzież albo ulegnie udręce zwątpienia, albo zupełnie się zdemoralizuje! Reżyserka postanawia przekreślić całą dotychczasową koncepcję widowiska i dodaje patetyczny epilog, w którym gimnazjalistka w uniformie wzywa młodzież do moralnej przebudowy świata. Bardzo przepraszam, jeżeli wszystko było żartem, nikt nie mógł na serjo przejąć się niesprawiedliwością! W tej niekonsekwencji logicznej Szkoła osiągnęła pyrrhusowe zwycięstwo nad Sztuką.

Lwią część swego powodzenia zawdzięcza niewątpliwie „Sztuka o lisie“ oprawie plastycznej. Przygotowały ją uczennice pod doświadczonem kierownictwem reżyserki, absolwentki warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych. I ten właśnie fakt zachęci niewdzięcznego krytyka do nowego ataku. Podczas rozbudowywania części plastycznej zaniedbano część literacką. Poziom tekstów był bardzo nierówny. Opracowanie w dużym stopniu zaszkodziło widowisku, wskutek niskiej kultury literackiej, gdyż niekrępowana kontrolą typowa twórczość uczennic VI czy VII klasy wyładowywała się chwilami w częstochowszczyźnie rymów gramatycznych. Szczególnie pod tym względem irytował jałowy prolog, którego jedynym celem było stworzenie równowagi formalnej dla zbytecznego epilogu. A przecież kultura słowa jest chyba nie mniej ważna w szkole aniżeli kultura plastyczna.

Aktorki grały wszystkie świetnie, na szczególne wyróżnienie zasłużyła odtwórczyni roli tytułowej. Bardzo wiele natomiast zastrzeżeń wzbudzała dykcja dziewcząt.

Winienem jeszcze kilka słów wyjaśnienia, komu zawdzięcza „Muza“ swe powstanie. Założył ją przed piętnastu laty pierwszy teoretyk teatru szkolnego w Polsce, znakomity pedagog — Lucjusz Komarnicki, ówczesny dyrektor gimnazjum J. Świąteckiej. Gdy w r. 1926 dyr. Komarnicki zmarł, gimnazjum zatroszczyło się o utrzymanie i rozwój osieroconej placówki; kierownictwo artystyczne teatru powierzono przed kilku laty dawnej wychowance gimnazjum. Zasłużony tryumf reżyserki jest jednocześnie pięknem zwycięstwem idei zmarłego jej profesora.

Aureli Kac

SPRAWY WSI

Konkurs na opis wsi przodującej. Państwowy Instytut Kultury Wsi, dążąc do pełnego i wszechstronnego poznania dzisiejszego życia i rozwoju wsi polskiej, przystępuje obecnie do badań nad wsiami przodującemi, t. zn. takiemi, które w swojem życiu i rozwoju gospodarczym, społecznym, czy kulturalnym wyróżniają się w okolicy i przodują innym wsiom.

Badania te mogą ujawnić twórcze poczynania wsi i tkwiące w niej siły społeczne, dlatego też muszą się oprzeć o tych, którzy te wsie przodujące z własnego doświadczenia i z własnej działalności najlepiej znają, mieszkając w nich lub biorąc udział w ich życiu. Państwowy Instytut Kultury Wsi ogłasza konkurs na opis wsi przodującej i zwraca się z gorącem wezwaniem do tych wszystkich, którzy w takich wsiach żyją lub znają je dobrze, aby wzięli udział w tym konkursie.

Opis wsi przodującej nie musi mieć charakteru opisu naukowego. Chodzi w nim tylko o to, aby opisać wieś tak, jak ją opisujący widzi, przedstawić dzieje jej rozwoju, jej poczynania i prace, jej sukcesy i niepowodzenia, jej przeobrażenia, aż do dzisiejszego stanu, ukazać jej życie, ludzi i działaczy, jej plany i zamiary.

Za najlepsze opisy przewidziano 35 nagród: 1 nagroda 300 zł.; 2 nagrody po 200 zł.; 4 nagrody po 100 zł.; 8 nagród po 50 zł.; 20 nagród po 25 zł.

W konkursie może wziąć udział każdy. Ani wiek, ani płeć, ani stan lub zawód, ani narodowość lub wyznanie nie są przeszkodą zarówno we wzięciu udziału w konkursie, jak i w uzyskaniu nagrody. Najważniejszym warunkiem jest całkowita prawdziwość i szczerość opisu. Błędy w pisowni lub niepoprawny styl nie wpłyną na ocenę opisu. Najlepiej pisać językiem prostym, używanym w codziennem życiu. Uczestnicy konkursu, nie będący narodowości polskiej, mogą pisać w swoim ojczystym języku. Cele konkursu są ściśle naukowe i nie służą żadnej propagandzie politycznej.

Termin nadsyłania rękopisów upływa dnia 1 stycznia 1940. Do opisu należy dołączyć nazwisko, adres i zawód autora. Na żądanie, nazwiska autorów nie będą ujawniane.

Adres, pod którym należy przesłać opis: Państwowy Instytut Kultury Wsi, Warszawa I, ul. Senatorska 29. Tam też można otrzymać szczegółowe instrukcje w sprawie konkursu.

LIST OTWARTY

Do Pana Dziekana Wydziału Prawa Uniwersytetu J. Piłsudskiego w Warszawie, prof. R. Rybarskiego

W imieniu ogółu myślącej i czującej młodzieży, studjującej na wyższych uczelniach Rzeczypospolitej protestuję przeciw krzywdzie, jakiej doznała od Pana Dziekana grupa studentów Żydów III-go roku prawa U. J. P. Aczkolwiek nie posiadam formalnego pełnomocnictwa od tych, którzy czują i myślą podobnie, to jednak sądzę, że gdy dzieje się niesprawiedliwość bezbronnym, pierwszym obowiązkiem każdego, czyje sumienie potrafi reagować na cudzą krzywdę, jest wołać o pomoc i naprawę wyrządzonych szkód.

Jest Pan jedynym profesorem szkoły wyższej, który nie omieszkał ze sprzecznych z konstytucją naszego kraju zarządzeń porządkowych wyciągnąć najdalej idące konsekwencje. Nie zawahał się Pan Dziekan narazić na utratę roku nauki 20-letnich chłopców żydowskich, którzy mimo gwałtów fizycznych i upokorzeń wytrwali w proteście przez dwa lata, nie dając się zepchnąć do ghetta akademickiego. Delegacjom, wysłanym w tej sprawie, tłumaczył Pan swe stanowisko niemożnością odstępowania od zasad prawnych.

Czcigodny Panie Profesorze! Od kiedyżto zasady prawne normują życie na eksterytorjalnych terenach naszych szkół akademickich? Czy ofiarą tych zasad padli trzej studenci lwowscy, zakłuci nożami przez pańskich wychowanków partyjnych? „Homo homini lupus“ — oto naczelne principium, które panuje na dziedzińcach i audytorjach sterroryzowanych zakładów nauki. Zasady prawne? A czemu to Pan, Panie Dziekanie, w myśl swych zasad prawnych ani razu nie potępił bezprawia i gwałtów, które nie są wszak rzadkością w naszem życiu uczelnianem, a które, przyznajmy to szczerze, w większej mierze burzą ład i prawo współżycia, niż milczący, bierny protest bezbronnych Prowellerów czy Landesbergów. Nie widziałem bowiem, Panie Profesorze, pańskiego nazwiska, złożonego pod protestem profesorskim, jakich było wiele. Nie Pan, Panie Dziekanie, wystąpił pierwszy w obronie łamanych zasad prawnych, ale uczynił to na łamach prasy lat temu 7 człowiek, na którego wykładach siedzą dziś Żydzi razem z chrześcijanami, zasłuchani w mądre słowa, płynące z katedry.

Niestety, po kilku latach studjów uniwersyteckich doszedłem do smutnego wniosku, że sokratesowe połączenie wiedzy i cnoty, jakiego nas tylekroć uczono, nie na każdej zasiada katedrze. Nie zawsze biegnie z profesorskiego fotela mądre i dobre spojrzenie, nie zawsze płyną prawe i mądre słowa mistrza. Proszę mi wybaczyć tę zuchwałą prawdomówność, ale kilka dni temu zaledwie, idąc przez pełny młodej jeszcze zieleni kasztanów i akacyj podwórzec uniwersytecki, wychodząc po magisterskim egzaminie z dyplomem niejako „w kieszeni“, nie mogłem oprzeć się smutnym refleksjom nad tem, co jest za nami i nad tem, co nas czeka. Do Pana zwracam się z tem pytaniem, Panie Profesorze, do przedstawiciela zachodniej myśli prawniczej, która ze źródeł wolności wywodzi swe rody. Został Pan powołany przez najwyższe władze Najjaśniejszej do szczytnego obowiązku nauczania młodych obywateli. Pełni Pan funkcje mędrca, uznane przez Platona za najdonioślejsze w życiu społeczeństwa. Więc jakże dziać ma się na świecie i w życiu ludzkiem, Panie Profesorze? Czy ma panować wolność i sprawiedliwość, iustitia i bona fides, czy też królować będzie gwałt i machiavelski podstęp? I jakże my młodzi szykować się mamy do życia? Czy tak jak ci, którzy sposobią się do gwałtu, zbrojąc się w kastety i żyletki, a których wszak Pan nie potępia, czy jak ci inni, tak rzadko dziś widywani, którzy nie odrywają się od mądrych ksiąg, wierząc w dobrą przyszłość świata.

Bo można utracić wiarę w dobrą przyszłość świata, patrząc na naszą młodzież dzisiejszą. Pragnę jednak, aby wszyscy wiedzieli, że my — demokratyczna młodzież akademicka — nie czujemy nienawiści do tych, którzy zwą się naszymi nieprzyjaciółmi, że nie pragniemy odwetu, ani zemsty, a jeśli żądamy ostrych represyj, to nie przemawia przez nas nic innego, jak troska o tych, którzy mogą, pociągnięci złym przykładem, wkroczyć na występne tory. I to jest jeszcze jeden powód, dla którego zwracamy się do Pana, Panie Profesorze, o porzucenie niesłusznego stanowiska. A chodzi tu o niebylejaką stawkę: o duszę młodzieży. Ten zadowolony, uśmiechnięty szmerek w audytorjum przy każdem pańskiem wystąpieniu w sprawie „podpisów żydowskich“, to objaw wysoce niepokojący. Zaraza przenosi się szybko, a nienawiść szybciej niż zaraza. Nie można kazić młodych dusz nienawiścią. Wszak człowiek nie rodzi się zły, lecz złym nieraz się staje. Zetknięcia jednostek i ich grup mogą zło wytworzyć. Zadaniem mędrca jest zetknięcia te i konflikty łagodzić.

Dlatego też, Panie Dziekanie, mam honor i zaszczyt prosić o zaniechanie dotychczasowego stanowiska w sprawie „podpisów żydowskich“.

Kazimierz Brandys

Warszawa, 7 czerwca 1939 r.

Od redakcji: Sprawę, poruszoną w liście Kazimierza Brandysa, wyjaśnia szerzej „interpelacja posła dr. Emila Sommersteina do ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego w sprawie utraty roku studjów przez studentów Żydów na III roku wydziału prawa uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie“:

„Na III roku wydziału prawa uniwersytetu J. P. w Warszawie prof. Roman Rybarski odmówił podpisu, stwierdzającego obecność słuchaczy na jego wykładach studentom Żydom, którzy nie usiedli w odrębnych ławkach, lecz w czasie wykładów stali, względnie uzależnił udzielenie tego podpisu od zastosowania się do ghetta ławkowego.

Brak tego podpisu uniemożliwia wymienionej licznej grupie studentów przystąpienie do egzaminu rocznego, a tem samem powoduje dla nich utratę roku studjów.

Jak wiadomo, młodzież żydowska przeciwstawia się ghettu ławkowemu jako dyskryminacji, opartej na jej wyznaniu i narodowości, a więc sprzecznej z Konstytucją, uwłaczającej jej godności narodowej, obywatelskiej i osobistej.

Niedopuszczalna jest represja za to jej godne i jedynie słuszne stanowisko w formie pozbawienia jej możności ukończenia studjów. W ten sposób realizowałoby się hasło numerus nullus, zmierzające do zupełnego usunięcia studentów Żydów z wyższych uczelni.

W tym stanie rzeczy zapytuję Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego:

1) Czy znany Mu jest opisany wypadek?

2) Co zamierza uczynić, ażeby wymienionej wyżej grupie studentów Żydów zapewnić możność przystąpienia do egzaminu rocznego?

3) Jakie zamierza wydać zarządzenia przeciw stosowaniu represyj w stosunku do studentów Żydów, broniących swych praw, swej godności narodowej i osobistej?“.

WŚRÓD NOWYCH POWIEŚCI

Stanisław Piętak. Białowiejskie noce. Powieść, Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 220 i 4 nl. — **Marja Kruczkowska. Sprawiedliwy z Sodomy.** Powieść. Warszawa, J. Przeworski, 1939; str. 300 i 4 nl. — **Dr. Z. Delta. Pamiętnik lekarki.** Warszawa, „Rój“, 1939; str. 355 i 1 nl. — **Zdzisław Czermański. W pluszowej ramie.** Z 11 rysunkami **autora.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1939; str. 218 i 6 nl.

„Białowiejskie noce“ **Stanisława Piętaka** są niewątpliwem osiągnięciem autora „Młodości Jasia Kunefała“. Piętak, rozmiłowany w pięknie wsi nadwiślańskiej (a co gorzej — swoim bohaterze!), nie uporał się w swojej pierwszej powieści z twardemi wymogami wielkich kompozycyj prozaicznych, dając utwór niepozbawiony poszczególnych pięknych obrazów, ale, jako całość, mętny, chaotyczny i nużący. Należy się cieszyć, że większości cech ujemnych „Jasia Kunefała“ w „Białowiejskich nocach“ nie można się doszukać. Nowa powieść Piętaka jest bardziej **zwyczajna** od swojej poprzedniczki. Jest w tem coprawda trochę rezygnacji, tem niemniej plusy z niej wynikające są zbyt wyraźne, by się martwić z tego powodu.

Obie powieści łączą się ze sobą: bo obie rozgrywają się w tem samem miejscu i występują w nich te same postaci. Nie znaczy to, by „Białowiejskie noce“ były dalszym ciągiem „Jasia Kunefała“: są one raczej rozszerzeniem niż przedłużeniem.

Może najwyraźniejszą zdobyczą Piętaka jest opanowanie konstrukcji fabularnej. Dzieje postaci czołowych w „Białowiejskich nocach“ toczą się klarownie i logicznie. Motyw naczelny: miłość młodej żony starego Plechowicza z Olszyny do maturzysty Julka Jadacha, niepozbawiony poszczególnych scen dramatycznych (np. samobójstwo Plechowicza) nie posiada jednak struktury dramatycznej i nadaje całości charakter równej, potoczystej narracji. Jest to duże opowiadanie, albo fragment kroniki powieściowej — nie nowela, ani powieść intrygi.

Motywy poboczne (również przeważnie erotyczne) swoją budową i plastyką świadczą, że Piętak zdecydowanie wkracza w dziedzinę czystej epiki prozaicznej. Szereg zindywidualizowanych postaci, niektóre sceny, brak gadulstwa na tematy krajoznawcze, ograniczenie introspekcyj psychologicznych — wszystko to bardzo przyjemnie dziwi czytelnika „Jasia Kunefała“. Największą może niespodzianką dla przyjaciół i wielbicieli Piętaka jest scena występu pisarzy w Białowsi: Piętak zdobył się w niej na dyskretny, a przecież wyraźny i przekonywający humor. Trudno o lepszy dowód rozwoju talentu autora lirycznych poematów wierszem i prozą, których może największą wadą była właśnie monotonja nastrojowa. Te same akcenty humoru znaleźć można i w niektórych innych fragmentach, a nawet przy poszczególnych postaci (np. Lipkowski, ksiądz Szymek i t. d.). Warto zauważyć także rasowo powieściowy chwyt kompozycyjny: wprowadzenie do zakończenia motywu, który możnaby nazwać nawiązującym. Jest to motyw Heli Kunefałówny i jej nieszczęśliwej miłości. Zrazu trzyma się on na uboczu, odepchnięty przez motyw Weronki Plechowiczowej, później stopniowo wysuwa się naprzód, wypełniając sobą końcowe partje utworu. W powieściach bez akcyj, opartych tylko na zwykłej narracji fabularnej, taki chwyt kompozycyjny ma za zadanie wywołać efekt równowagi i swoistej skończoności. Piętak stosuje go umiejętnie i skutecznie.

Rzecz prosta, „Białowiejskie noce“ są tylko pierwszym krokiem od lirycznej prozy do epiki. Piętakowi niezbyt się udało t. zw. tło; o ile postaci czołowe są wyraziste o tyle brak jest w powieści klarownej, trzywymiarowej przestrzeni, wieś Piętaka jest dosyć mglista, trzeba zapewne być w Białowsi, by zastrzeżenie powyższe stało się nieaktualne.

O ile mi wiadomo, **Marja Kruczkowska** jest debjutantką. Tem większą uwagę powinna zwrócić na siebie jej powieść. „Sprawiedliwy z Sodomy“ świadczy, że Kruczkowska ma niewątpliwy talent powieściowy i że już w chwili obecnej wiele nim dokonać potrafi.

Fabuła powieści nie należy do codziennych: są to dzieje miłości dwóch sióstr (pięknej, a biernej Agnieszki i brzydkiej, agresywnej Józefy) do tego samego mężczyzny, męża tej pierwszej. Miłość ta zrazu jest wzajemna: mężczyzna miota się między jedną siostrą a drugą. Pragnące wyłączności erotycznej kobiety doprowadzają go do tego, że ucieka od obydwóch. Wówczas ta agresywniejsza zabija go, poczem razem ze swoją pasywną siostrą ukrywa zwłoki.

Ten rdzeń fabularny uzupełniony jest przez parę motywów pobocznych. Najciekawszy z nich, motyw tytułowy, nie został, niestety, przedstawiony dosyć jasno, a przemiana ojca zbrodniczych sióstr z właściciela domu publicznego, byłego złodzieja i t. p. w tego, który świadomie przyjmuje wyrok sądowy za winę przez siebie niepopełnioną (morderstwo), wypadła niezbyt logicznie, nie uzasadniła jej autorka tak mocno, jakby należało.

Mimo zalatującej literaturą kryminalną fabuły, książka daleka jest od nastawienia na sensacyjność. Autorka punkt ciężkości przesunęła na psychologję bohaterów, osiągając tu wcale wyraźne sukcesy. Można, oczywiście, zarzucić Józefie pewną schematyczność, można, jak uczyniłem, doszukać się w postaci jej ojca niewypełnionego przeskoku, te jednak mankamenty nie zmieniają charakteru całości, która, jak na nasze warunki, jest ciekawa, żywa, pasjonująca.

Atmosfera domu Piwońskich oddana została z sugestywnością wstrząsającą, trudno o bardziej ponury a skończony i wyrazisty koloryt środowiska powieściowego. Poszczególne sceny (np. eksmisja Komolaków) świadczą, że Kruczkowska ma dane, by się pokusić nie tylko o prozę psychologiczną, ale i o szeroką epikę. Już nie opanowania aparatu poświeściowego, ale żywej twórczości można się dopatrzeć w bardzo dyskretnej tonacji stosunku starej Piwońskiej do męża.

Faktura powieści jest swobodna i czytelna, choć możliwości, których nastręczała parokrotna zmiana aspektu (korespondencja Józefy, pamiętnik Włodzimierza, wtrącone w zwykły, „objektywny“ aspekt autorki) nie zostały wyzyskane.

W sumie naprawdę ciekawa, godna przeczytania i zapamiętania książka.



Marja Kruczkowska

Pewni, bardziej nadęci niż myślący krytycy zarzucili Kruczkowskiej pornografję. Nonsens ten charakteryzuje dosadnie nie powieść lwowskiej pisarki, ale kosmate a puste wnętrza ich wyobraźni. Niewątpliwie, Kruczkowska wyrosła na przepojonej seksualizmem glebie dzisiejszej powieści zachodnioeuropejskiej i chwilami zdarzają się u niej miejsca rażąco kobiece, tem niemniej trzeba być wodzem duchowym tercjanek, by pasję psychologiczną „Sprawiedliwego z Sodomy“ nazwać pornografją.

Miałbym osobiście tylko jedno na ten temat zastrzeżenie: należało albo wykropkować wszystkie t. zw. mocne słowa, albo pozostawić wszystkie w całej ich (wątpliwej) okazałości. A bodaj najlepiej byłoby wogóle je wyrzucić: na złość tym duchowym importerom, którzy się teraz wyżywają, z lubością deklamując „bu...“, „ba...“.

Książka dr. Z. Delty balansuje na pograniczu powieści i pamiętnika. Typ narracji, budowa scen, podział na mniejsze całostki — wszystko to jest niewątpliwie pamiętnikarskie. Mimo to autorka uczyniła pewne wysiłki dla ukształtowania materjału na obraz i podobieństwo powieści. Przedewszystkiem czas akcji: zaczyna się w sierpniu roku 1914, kończy się w listopadzie roku 1918. Wybór tego okresu jest trafny i szczęśliwy: nie dlatego, że czasy Wielkiej Wojny zawsze będą miały dla odbiorcy szczególny, pasjonujący posmak, bo w „Pamiętniku lekarki“ akcja toczy się na dalekich tyłach, w Wiedniu i okolicy, gdzie echa burzy wojennej docierają stuszowane i rzadkie. Dlatego, że te cztery lata przeżywali ludzie w tempie przyśpieszonem, dojrzewali w tym czasie szybciej, toteż proces stawania się studentki medycyny wyrobionym doktorem jest tu wyraźniejszy, bardziej plastyczny. Autorka przedstawia go bez uciekania się do znaczniejszych skrótów, bez przeskoków, a zarazem bez niebezpiecznych dłużyzn.

Natomiast inny moment powieściowy, wątek erotyczny, nie należy do szczęśliwych: zbyt bezpośredni jest jego związek z naczelną tezą książki.

Albowiem „Pamiętnik lekarki“ ma swoją tezę: powołanie lekarskie wymaga od adepta wyrzeczenia się szczęścia (t. zw.) osobistego. Bohaterka, mająca do wyboru miłość lub medycynę, po długich walkach wewnętrznych zrywa z narzeczonym. Teza ta postawiona jest może nieco szablonowo, także i perypetje miłosne nie należą do ciekawych.

Natomiast wszystko, co ma związek z medycyną, jest znacznie lepsze. Poszczególne przypadki z chorymi czyta się chwilami z niesłabnącem napięciem. Styl autorki jest wyrobiony i żywy. Jest to nie tylko książka, która czegoś uczy, ale i książka, którą się czyta z prawdziwą przyjemnością.

„W pluszowej ramie“ **Zdzisława Czermańskiego** składa się z dwóch części bardzo różnego charakteru i jakości. Pierwsza — to krótkie obrazki autobiograficzne z dzieciństwa znakomitego malarza. Trzeba przyznać, że trudno o lepsze dopasowanie żywiołu plastycznego i pisarskiego: historyjki z Krowodrzy, zgrupowane dokoła kolejnej cioci czy dziadka, uzupełnione świetnemi portretami tych bohaterów, są pełne niepowtarzalnego humoru i ujmują doskonałym kolorytem dzielnicy i epoki. Postaci dziadka, babci, cioci Feli przedstawione są tu z zacięciem Czermańskiego-malarza, należy żałować, że mijają tak szybko, niewyzyskane w jakiejś większej kompozycji. Także i obrazki lwowskich pracodawców autora należą do majstersztyków karykatury pisarskiej, karykatury zresztą, która, jak i karykatury plastyczne autora, tem się tylko różni od portretu „serjo“, że jest bardziej odeń wyrazista.

Druga, dłuższa (niestety) część książki, obejmuje kolejno dalsze etapy biografji autora i nie posiada zalet pierwszej. Punktem centralnym staje się tu rodzina Kuleszyńskich, której walory powieściowe ukazałyby się zapewne dopiero w ręku zawodowego powieściopisarza; w ujęciu Czermańskiego doprawdy nie zasługuje na tyle uwagi, ile jej poświęcił. Znikają świetne ilustracje, znika trafna obrazkowa kompozycja poszczególnych ustępów, występuje dłuższa narracja, pozbawiona plastyki części pierwszej i posługująca się osobami i zdarzeniami mało zajmującemi. Zaledwie parę momentów dorównywa obrazkom z początku książki: niezwykła wizyta Dyonizego Kalinkowskiego, zabawne obserwacje zwyczajów gości letniskowych i t. d. Są to jednak tylko luźne fragmenty.

Motywy o posmaku dramatycznym (garbus Andrzej Kuleszyński, pewne akcenty **przemijania** całego pokolenia i t. p.) potraktowane są zbyt pobieżnie, by można było mówić o nich, jako o osiągnięciu pisarskiem.

Jerzy Putrament

DZIECI NA EKSPORT

Paryż, w maju

„Eksportować albo umrzeć“ rzucił Hitler w jednem ze swoich ostatnich przemówień. Proste i jasne postawienie sprawy. Niemcy się duszą. Niemcy muszą znaleźć rynki zbytu dla swoich towarów. Jest jednak jeden produkt, który Trzecia Rzesza eksportuje masowo, którym stara się zalać rynki francuskie, angielskie, amerykańskie. Żaden kraj nie może w tej dziedzinie dorównać Niemcom. A przytem zagarnięcie każdej nowej „prowincji“, Austrji lub Czech, przyczynia się jeszcze do wzmożenia eksportu tego szczególnego towaru, który możnaby według modnej nomenklatury nazwać „materjałem ludzkim“.

Rzesza eksportuje masowo, bezkonkurencyjnie tanie ludzkie życia. Nie jest jednak dostawcą uczciwym i solidnym. Często dostarcza materjał w stanie opłakanym — pozwala emigrować nędzarzom, ludziom złamanym nerwowo po „końskiej kuracji“ więzień i obozów koncentracyjnych lub tak „nieproduktywnemu“ elementowi, jak dzieci.

Bo to też jest wynalazek naszej epoki — to transporty, niestety niehermetycznie izolowanych od świata dzieci, oderwanych od rodziców, wydartych z domu rodzinnego, ze szkoły, z miasta, z kraju, gdzie się urodziły, gdzie wzrastały.

A potem akt drugi: przeflancowanie na nowy grunt tych młodziutkich istnień, tych trzyletnich często brzdąców, które naskutek zrealizowania nowoczesnej zasady „samostanowienia narodów“ załadowano pewnego dnia do pociągu, wcielono do „transportu“ i wysłano z piekła upokorzeń, głodu i niepewności do Anglji, Francji, Belgji...

Niemcy eksportują. Nie w takiej mierze, jakby chciały — możliwości „importerów“ są dość ograniczone — ale przecież „handel idzie“. Anglja przyjęła dotąd 3.500 dzieci, Belgja 579, otwierają się dla Niemiec rynki holenderskie, szwedzkie, norweskie... Francja zgodziła się ostatnio na przyjęcie 200 dzieci z Wiednia, Mannheim, Wrocławia i Frankfurtu. Pierwszy transport przybył przed 3 miesiącami. W Montmorency pod Paryżem, w pięknej willi o dźwięcznej nazwie „Helvetia“ znalazło przytułek 128 dzieci żydowskich, utrzymywanych przez towarzystwo OSE, dzieci z najrozmaitszych środowisk w wieku od 3 do 14 lat.

Kiedy się patrzy na te najmłodsze, na te maleństwa, których miejsce powinno być przy własnej matce — nie można się oprzeć uczuciu podziwu. Bo też dzieci najboleśniej dotknięte, najniewinniej prześladowane, jednocześnie najłatwiej naginają się i przystosowują do nowych warunków. Najsilniej cierpią i najszybciej zapominają. Są chłonne, podatne na nowe wpływy, ich zdolność przystosowania się jest tak świeża i plastyczna, jak młodziutkie tkanki ich ciała. A im wyżej się wspiąć po drabinie lat, tem cięższej otrząsnąć się, zapomnieć.

W oczach 14-letniej, pogodnej zresztą dziewczynki, wyczytać można jej całą historję, przyjazd z Wiednia, rozstanie z rodziną. „Tęskno mi — przyznaje, jakby z pewnem zawstydzeniem — tu jest bardzo dobrze, ale... tatuś i mama są daleko w Venezueli, list szedł 6 tygodni...“.

„Nie mogłaś wyjechać razem z nimi?“ — „Nie, oni wyjechali nielegalnie“. Nad łóżeczkiem 5-letniej dziewczynki wisi wzruszająco-sztywna fotografja rodzinna. Maleńki kącik własnego domu, gdzie wszyscy byli razem. Bardzo dziwnie wygląda ta fotografja, zawieszona na ścianie w ciasnej sypialni internatowej.

W Montmorency jest bardzo ciasno i bardzo jeszcze prowizorycznie. Budynek, który powinien mieścić 60 do 70 dzieci, daje w tej chwili schronienie 128. Starsze mają być przeniesione gdzieindziej, coraz przybywają nowe dzieci, sypialnie są przetłoczone, plan dnia dopiero opracowywany, dzieci jeszcze pozostawione sobie. Rozpoczęto już potroszę zajęcia szkolne, naukę francuskiego. Starsi chłopcy mówią bez zająknienia: „Je ne parle pas français“. Takie są pierwsze owoce lekcji. Trzeba te dzieci otulić w francuską atmosferę, niby w ciepły płaszcz, trzeba je zorganizować, trzeba im ułożyć życie. Jest to bardzo trudne zadanie. Dzieci są fatalnie opóźnione w nauce. W Niemczech, w Austrji nie chodziły przecież do szkół przez przeszło rok czasu. „Wyrzucono nas ze szkoły — opowiadają. — W szkole powszechnej dzieci niemieckie były bardzo miłe. Ale potem to się zmieniło. Już nie chciały z nami mówić“.

Powoli, powoli zbledną wspomnienia. I nie będzie już tych oskarżycielskich oczu dziecka, które na wspomnienie ostatnich dni, przeżytych we Wiedniu, wzdycha nagle ciężko i mówi z zatrważającą dojrzałością i opanowaniem: „Tak, to było dosyć straszne“...

Młode tkanki, młode mózgi, młode serca. Gorzej rodzicom, którzy pozostali we Wiedniu, albo tym, którzy wegetują w Paryżu bez prawa pracy. „Tak trudno na stare lata uczyć się obcego języka“ — wyznała mi kiedyś Niemka, zbiegła z Wiednia. Drobiazg, ale jakże wymowny.

A dzieci tutaj, w Montmorency, wita tekst Marsyljanki, pięknie wykaligrafowany na kartonie, przybitym nad kominkiem w jadalni: „Allons enfants...“.

I dzieci „pójdą“. Podniosą się. Mimo wspomnień i fotografij z tamtych czasów. Nasiąkną nowem powietrzem. Przetrwają.

W pokoju redakcyjnym przygotowują właśnie gazetkę ścienną. Tyle się widziało tych szkolnych i internackich, uroczych gazetek dziecinnych. Pewno znów konkursy, krzyżówki, sport i bajki. Ale tu, na pierwszej stronie **„Nowiny Polityczne“.**

Ktoś odzywa się zmieszany, zaskoczony: „Dzieci, dzieci i polityka?“.

A kierowniczka zakładu odpowiada z pobłażliwym uśmiechem:

„Tyle się nacierpiały przez tę politykę, że teraz już nie mogą się nią nie interesować“.

Pokolenie powojenne, dla którego pisało się w Genewie deklarację praw dziecka, dziecko „przyszłość narodu“, „świętość“ i „oczko w głowie“, wysiedlone, wyrzucone ze szkoły i z ogrodu, oderwane od rodziców — nie, to nie przestanie być policzkiem, wymierzonym tej cywilizacji, na którą tak często jeszcze się powołujemy. Wiadomo, dzieci zapomną, przystosują się. Na trawniku, przed domem, tańczy w wieńcu z kwiatów, mały, może czteroletni brzdąc, i aż tu, na drugiem piętrze słychać śmiech.

Ale my nie możemy się przystosować, nie możemy przestać się buntować. Najlepszym sprzymierzeńcem wszelkiego zła jest przyzwyczajenie, obojętność, brak odruchu, nawet bezcelowego, nawet bezsilnego.

I dlatego Montmorency, dom dla dzieci tułaczych, jest przedewszystkiem oskarżeniem ducha naszej epoki, a potem dopiero pocieszającym dowodem istnienia ludzkiej solidarności.

Erbin

* * *

Nie wietrzyć wszędzie zdrady *)

Ignacy Fik został przypadkowo niezwykle zaszczycony. Cytuje się go bardzo często, a definicje jego, niepozbawione rozciągłości i pojemności, mogą powierzchownie i prymitywnie załatwiać sprawy o wiele bardziej splątane w sposób apodyktyczny — oczywiście w oczach ludzi, którym to się podoba i odpowiada. Fika definicja literatury proletarjackiej jest pakowna jak worek. Ujmuje ona zagadnienie literatury proletarjackiej z punktu widzenia ideologicznego, podobnie zresztą jak to uczynił Fr. Pajdak z literaturą ludową w „Młodej Myśli Ludowej". Moglibyśmy się już nie zachwycać tak „spontanicznie" penetracją polityki w każdej dziedzinie twórczości ludzkiej. To właśnie w Trzeciej Rzeszy usuwa się filozofję z uniwersytetów, by na jej miejsce wprowadzić wielce pożyteczną naukę „z podstawowych zagadnień, dotyczących polityki i poglądu na świat". Ostatecznie musi się dojść do alternatywy: albo jest pewien zespół faktów, które nazywają się literaturą, albo go niema, jest zaś tylko wszechobecna polityka, wobec której wszystko inne jest względne i ma charakter podrzędny, pomocniczy.

Zastanówmy się jednak nad praktycznemi następstwami ideologicznie definjującej definicji Fika. Współpraca literatury w urzeczywistnianiu wysuniętych przez proletarjat żądań mogłaby, jako rozwiązanie wstępne, streszczać się w zadaniu agitacyjnem, jak również w zadaniach natury ustrojowej, gospodarczej, socjalnej. Ale — słusznie mówi Broniewski — „rozbudzenie proletarjatu jest dziełem rewolucyjnych organizacyj proletarjackich a nie literatury, rozwiązywanie zaś zagadnień natury ekonomicznej, gospodarczej i społecznej również nie do niej należy. Każdy pisarz powinien znać podstawowe zagadnienia z życia ekonomicznego i społecznego — nie może go tu ratować i zwalniać od tej znajomości jakaś wyższa „racja estetyczna". Istotnie, droga do „uspołecznienia kultury prowadzi przez uspołecznienie jej twórców" — ale wymaganie od pisarzy rozwiązywania zagadnień życia, społecznego i ekonomicznego w szczególności, byłoby kultem niekompetencji. Krwawienie się zaś problematyką społeczną (nawet w sensie radykalnym) nie jest przywilejem tylko pisarzy marxistowskich. Wystarczy wymienić Jana Wiktora i Pawła Hulkę - Laskowskiego. Mimo perspektywy idealistycznej, ich wysoka etyka i odczucie niedoli ludzkiej pozwalają im dostrzec ogrom niesprawiedliwości społecznej. Zagadnienie literatury proletarjackiej sprowadzałoby się więc do momentu moralnego; w tym zakresie marxizm jest jednak indyferentny. Problem moralny wyłania się także spoza frazeologji oficjalnych koryfeuszy naszej estetyki i historji literatury, którą chyba należałoby nazwać „reakcyjną" (chociaż termin ten jest niewłaściwy: niema estetyki „postępowej" i reakcyjnej, jest natomiast estetyka formalna, socjologiczna, psychologiczna i t. d.). Oto pisze K. Czachowski: „Zadaniem nowej literatury jest wyzwolenie nowego człowieka, w nowym świecie pracy, czyli twórczości, w której estetyka i etyka sprzymierzą się nierozerwalnie".

Krótko mówiąc: z którejkolwiek strony brać definicję Fika okazuje się ona niezadowalająca, szeroka i płynna. Jeżeli formułowałem marginesowo i bez uzasadnień swoje stanowisko — które prawem reakcji zacieśniało mocno zakres kompetencyj literatury proletarjackiej — to w sformułowaniu tem za podstawę brałem kryterjum trybu życia. Nie chcę tu pisać o moim systemie estetycznym, może będę to mógł uczynić przy innej sposobności. Nie dam się jednak przekonać twierdzeniem, które wyrażał Lenin, że „kultura proletarjacka powinna stać się **konsekwentnem** rozwinięciem tych zapasów wiedzy, które ludzkość wypracowała pod uciskiem społeczeństwa kapitalistycznego"; dla mnie literatura proletarjacka to nie tylko nowa treść, ale i nowa forma. My zaś wszyscy, jakiekolwiek robilibyśmy wysiłki, żyjemy pod urokiem wartości estetycznych, powstałych w ustroju kapitalistycznym, wypracowanych przez zmieszczanizowaną inteligencję, — wyzwolić się z nich jest niemal niemożliwością.**) M. Lewiński pisze: „Nieuświadomiony klasowo robociarz nie przestaje być w znaczeniu polityczno-społecznem proletarjuszem, dopóki świadomie nie działa, przekupiony przez burżuazję, na niekorzyść klasy robotniczej. Tak samo i inteligent". W świetle tego sformułowania, całą niemal literaturę dzisiejszą trzebaby nazwać proletarjacką: inteligencja jest proletarjatem nieuświadomionym i jeżeli działa na szkodę proletarjatu, to nieświadomie, a więc... literatura, którą tworzymy jest proletarjacka, lecz nieuświadomiona...

Chodzi mi dalej o stwierdzenie, że sytuacja życiowa i tryb życia przeważnej części inteligencji ma więcej wspólnego z życiem burżuazji niż z życiem proletarjatu fizycznego (czasem przez posiadanie tylko wyższych aspiracyj), wpływa to na jej zachowawczość, a w konsekwencji wyraża się w tolerowaniu burżuazji w nadziei, że skoro psa puszczono pod stół, to jest możliwość wdrapania się także na stół. Inteligencja boi się sproletaryzowania, lecz to nie pobudza w niej uczuć solidarności z robotnikiem, z którym mogłaby iść na podbój lepszego jutra — jej obawy przed zdeklasowaniem wyrażają się właśnie w nienawiści do proletarjatu, w izolacjonizmie. Ad. Próchnik ma słuszność pisząc, że inteligencja dzisiejsza przypomina robotników z okresu ruchów luddystycznych, gdy ci zamiast niszczyć właściwych sprawców swego nieszczęścia, niszczyli maszyny. Czyż trzeba odmawiać tym ludziom prawa do proletarjackości — ludziom, którzy przecież nie zgłaszają chęci do jego posiadania? Nie chodzi tu oczywiście o grupę świadomych pisarzy — marxistów. Pod względem dążeń politycznych niewątpliwie spotkamy się w jednym punkcie z proletarjatem fizycznym: na imię mu socjalizm (chociaż i tu będą istnieć wieloznaczne rozumienia). Ale jeśli chodzi o widzenie życia, o zdolność ujmowania jego wielopłaszczyznowości — w tym wypadku będą pewne, zasadnicze różnice. Nie można wnosić o wspólnocie ludzi na podstawie ich jednakowego stosunku do pewnych spraw czy zagadnień. Ja np. — o ile wypada argumentować przez demonstrowanie na sobie samym — mam wspólne zdanie o malarstwie Gauguina z pewnym faszystą. Podobno na wystawie w Moskwie tak scharakteryzowano sztukę Cézanne'a: „Początkowy okres imperjalizmu. Smak przemysłowej burżuazji"... I jemu i mnie nie podobają się takie charakterystyki. Ale czyż z tego wynika, że także jestem faszystą?

Chodzi o to: jeżeli socjolog, najbardziej nawet bezstronny, będzie opisywać, na podstawie bezpośredniej obserwacji, np. życie robotnicze pewnego środowiska, to wypadnie ono napewno inaczej, niż w realjach samych robotników; odegra tu rolę sytuacja badawcza socjologa, jego zdolność selekcji różnych spraw, pewna metodologiczna schematyzacja, a wreszcie uznawanie pewnej swoistej hierarchji wartości — u robotnika zaś ważność i nieważność tych samych spraw może się przedstawiać zupełnie inaczej. Jego sytuacja życiowa jest inna, i w zależności od tego, sprawy będą nabierać dla niego innego charakteru niż np. dla owego socjologa. A wkońcu — każda praca twórcza jest rzutowaniem własnej doskonałości; w systemie tym odgrywa dominującą rolę aparat poznawczy, jakim rozporządza dana jednostka. W zakresie zaś typologji, w zakresie krystalizowania się pewnych charakterystycznych typów, przeważającą rolę odgrywa zawód, który stanowi podstawę egzystencji danej jednostki. Zawód bardzo często formuje osobowość jednostki, decyduje o jej postawie wobec życia, a nawet ideologji. Nawet wybór zawodu przymusowy, nieodpowiedni, spełnia dalej tę rolę, z tem, że jednostka czuje się pokrzywdzona, jest niezadowolona. Z punktu widzenia socjologji (czy tylko tej reakcyjnej?) można mówić odrębnie o robotniku budowlanym, o górniku, o robotniku ziemnym i t. d. Nie uznaję „jakiejś" inteligencji, ani tem bardziej klasy inteligenckiej; jest tylko inteligencja chwiejna i niezdecydowana, inteligencja sprzedajna, która mimo że jest proletarjatem, różni się zasadniczo swoją postawą od proletarjatu fizycznego, może właśnie przez funkcje, jakie spełnia w dzisiejszym ustroju.

Należałoby także powiedzieć, że nie jest wielką cnotą zgadzać się we wszystkiem z Marxem i pasorzytować na cytatach z „Kapitału". Sądzę, że większą cnotą jest nie zgadzać się w czemkolwiek, jeżeli oczywiście tę opozycję nie uprawia się tylko z samej przyjemności opozycji i jeżeli ta niezgodność nie stanowi pretekstu do zdrady sprawy robotniczej. Krytycyzm jest rzeczą cenną, jeżeli tylko umie się dowieść na czem się go opiera, zawsze jest lepszy od przyzwalającej bezmyślności.

M. Lewiński jest dziwnie nietolerancyjny. Nie sądzę, aby nietolerancja była cechą ludzi kulturalnych, lub tem bardziej demokracji. Przeciwnie — jest ona zaczerpnięta z najbardziej przykrych wzorów jakich nam dostarcza historja. (Nieznośna jest dyskusja, w której od argumentów rzeczowych zjeżdża się na sprawy osobiste). W stosunku do dr. Grossa Lewiński wyraził zdaje się także nieco zakulisowego krytycyzmu. Chodzi o to, aby nie wietrzyć zaraz wszędzie zdrady. Książka Grossa miała „ciepłe recenzje nie tylko w prasie reakcyjnej, ale w ciepłych słowach pisał o niej także Leon Kruczkowski (dlaczego Lewiński o tem nie pamiętał?) Oczywiście, że śmieszna była radość Ks. Pruszyńskiego, który ni mniej ni więcej tylko twierdził, że praca Grossa obala system (podział klasowy) Marxa. Tu poprostu trzeba było wyjaśnić, że chodzi o dwa różne pojęcia — klasy i warstwy, z których każde ma inny zakres. Wprawdzie tak zwanego „mitu o proletarjacie" — to cokolwiek byśmy mówili o reakcyjności mitu, o jego zachowawczej roli — mit taki istnieje. Jest to poprostu subjektywne wyobrażenie inteligenta (nawet lewicowego), nieoparte na doświadczeniu, zasadniczo różne, bo idealizujące w stosunku do rzeczywistości. Mitem tym operuje wiele ludzi, a w konfrontacji z życiem rozwiewa się on prawie zawsze. Ale to wcale nie przeszkadza, że mit taki mimo wszystko krzepnie, a przyczyniają się do tego niektóre powieści o „szlachetnym proletarjuszu" i agitacja polityczna. Bo trudno człowiekowi, gdy mówi o Polsce Ludowej, myśleć o chłopie, który mu przed chwilą sprzedał śmietanę zamieszaną z mąką — musi on myśleć, aby się utrzymać na poziomie swego ideału, o jakimś chłopie lepszym, sprawiedliwym i mocnym. Taki chłop jest właśnie mitem, fikcją, idealnym schematem. Chodzi jednak także o to, aby nie być bardziej marxowskim, niż był sam Marx. Marxizm nie jest jakąś magiczną formułką, która rozwiązuje wszystko. Na polu badań indywidualnego człowieka jesteśmy nieco bezradni. Nie sądzę, by nasiąkanie marxizmu treścią humanistyczną było wynikiem infiltracji mieszczaństwa w szeregi socjalistyczne. Zhumanizowanie marxizmu należy uważać raczej za objaw pożądany — dziś w epoce tak wybitnie zdehumanizowanej; do humanizmu socjalistycznego musi należeć odbudowa najwyższych wartości ludzkich, do niego też musi należeć dźwignięcie sztandaru godności ludzkiej.

Nakoniec jeszcze jedno: nie wietrzyć ciągle zdrady. Jeżeli wietrzenie staje się chroniczne, świadczy to o jakimś złym kompleksie. Należy się wyzwolić spod jego panowania. Atmosfera podejrzliwości jest czemś wstrętnem, uniemożliwia twórczą pracę. Taka postawa nie zjednywa sympatji dla socjalizmu.

P. S. Gdyby moje uwagi pociągnęły za sobą konieczność odpowiedzi, to — ponieważ miejsce w „Sygnałach" jest bardzo cenne, a dyskusja według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie się stawać coraz bardziej szczegółowa, osobista i interesująca bezpośrednio tylko nas obu — proszę zwrócić się do redakcji, która poinformuje o moim prywatnym adresie.

Kazimierz Frankowski

*) por. w nr. 68 „Sygnałów" Kazimierza Frankowskiego „Proletarjat i kultura", w nr. 69 „Robotnicy piszą" i w nr. 70 Mieczysława Lewińskiego „Jeszcze o kulturze proletarjatu".

**) Wyzwalanie się może nastąpić przez dopływ zupełnie nowego elementu do twórczości literackiej, — zresztą bardzo powoli i bez gwarancji pozytywnych wyników.

„...po dojrzałem rozważeniu w głębi Naszego ojcowskiego serca uważaliśmy za właściwe w chwili, która wydawała się szczególnie groźną w życiu narodów, zwrócić uwagę w początkach ubiegłego miesiąca maja **pewnym mężom stanu wielkich narodów europejskich**, że stan rzeczy w owej chwili napełniał Nas obawą, by spory międzynarodowe nie zaostrzyły się i nie przerodziły w krwawy konflikt. Możemy powiedzieć z wdzięcznem sercem, że ten Nasz krok w zasadzie spotkał się z sympatją rządów i wdzięcznością społeczeństw, gdy informacje o tem — bez Naszego współdziałania — doszły do wiadomości ogółu. Z powyższego przekonaliśmy się o dobrej woli i pragnieniu utrzymania pokoju, tak pożądanego przez narody. Nikt nie mógł być bardziej od Nas zadowolony ze stwierdzenia tego początku **odprężenia duchowego** i bardziej pożądać i życzyć, aby to **odprężenie** coraz bardziej się utrwalało. Nie możemy przemilczeć, że także **inne wiadomości**, które mogliśmy otrzymać przy okazji tego kroku w sprawie **nastrojów i zamiarów wpływowych mężów stanu** — którym jesteśmy bardzo wdzięczni — pobudziły Nas do nieco większej nadziei, że względy na humanitaryzm, świadomość nieuniknionej **odpowiedzialności wobec Boga i historji** (skąd znamy te słowa? z naszej konstytucji kwietniowej! — przyp. mój Z. J.), zdrowy pogląd na istotne interesy narodów, będą miały dość siły i wagi, aby doprowadzić rządy w wysiłkach ku uzyskaniu pokoju trwałego, który zachowa wolność i **honor ludów** (honor? to brzmi znów, jak reminiscencja z ostatniej mowy płk. Becka! — przyp. mój Z. J.), do myśli i czynów, które mogłyby złagodzić, zmniejszyć i pokonać przeszkody fizyczne i moralne, stojące na drodze do szczerego i pewnego porozumienia. Te okoliczności pozostawiły Nam otwartą drogę do **nowych poczynań, nowych wysiłków**".

5 czerwca pisał Mussolini w „Il Popolo d'Italia", że tymi mężami stanu, których odpowiedzi spotkały się z zadowoleniem Piusa XII, byli przedewszystkiem... Mussolini i Hitler. Podkreślił też dyktator Włoch z głęboką satysfakcją, że papież nie uznał za potrzebne zwracać się w swej akcji pokojowej do Roosevelta. Nakoniec postawił kropkę nad i wskazując, że słowa o „trwałym pokoju, który zachowałby wolność i honor ludów" są „formułą, zdolną zaspokoić żądania tych, co nie są dysponowani do przyjęcia **pokoju za wszelką cenę**"

STEFAN GOŁĘBIOWSKI

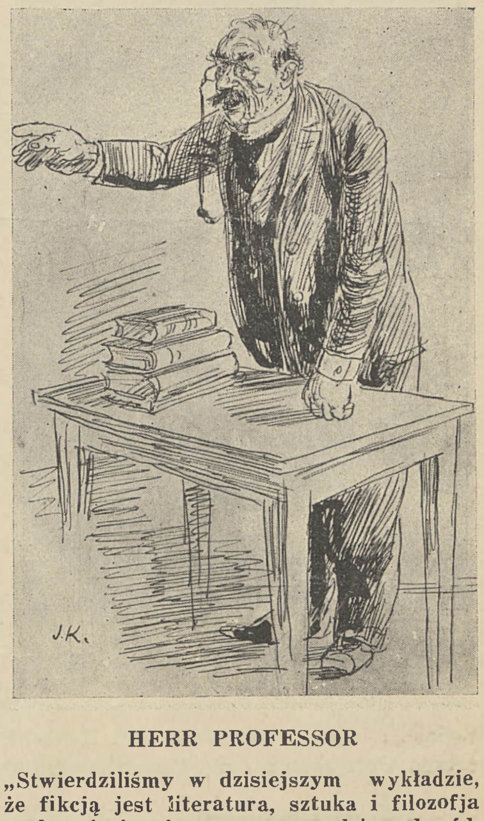
W STRONĘ NOCY

Fantastycznych rzeczy dobre i złe dzieje
Codzień gasną w słońca ostatniej godzinie.
Zorza w drzewach krzakiem ognistym goreje
I do mrocznych jarów doliną mgieł płynie.

Ogniem płoną ciche nadrzeczne szuwary
I toń wodna cała w ognistych językach.
Jak obłoki wolno nadciąga zmierzch szary
I z westchnieniem ziemia powieki przymyka.

W oczy świata smakiem pożądań zatrute
Ciemne moce sypią popiołów milczenie.
Za ich sprawą płynę nad brzegi wyzute
Z życia za sternikiem prowadzącym cienie.

rys. J. Krajewski



HERR PROFESSOR

„Stwierdziliśmy w dzisiejszym wykładzie, że fikcją jest literatura, sztuka i filozofja proletarjacka; jutro przeprowadzimy dowód, że niema proletarjatu".

Zygmunt Jarosz

WYSTAWA W „MUSEIONIE“

Kierownictwo antykwarjatu „Museion“ wzorem najlepszych tradycyj paryskich marchandów specjalizuje się w odnajdywaniu małoznanych dzieł najwybitniejszych, aczkolwiek bynajmniej nie zawsze popularnych artystów. Po zeszłorocznym, rewelacyjnym pokazie obrazów Maurycego Gotlieba, „Museion“ urządził wystawę prawie nieznanych prac Grottgera, Aleksandra Gierymskiego, Ludwika De Laveaux, Rodakowskiego i inn. Clou wystawy są niewątpliwie pejzaże Gierymskiego: nasycony zmaterjalizowanem światłem plener „Park Luksemburski“ i pastel „Fragment architektoniczny z Wenecji“, odznaczający się najzupełniej współczesną fakturą, iskrzący się drobnemi, zdumiewająco skontrastowanemi rzutami kredki. Nie mniejszą „sensacją“ jest kapitalny fragment kościelnego wnętrza De Laveaux. Ludwik De Laveaux (1868—1894), serdeczny przyjaciel Aleksandra Gierymskiego i Włodzimierza Tetmajera, należy do malarzy w Polsce całkowicie zapomnianych. Wspominają o nim niekiedy jakdyby na marginesie, mimochodem, historycy sztuki starszego pokolenia, rejestrując z kronikarskiego obowiązku nazwisko artysty, który, sądząc z wystawionego obrazu, zasługuje na „odkrycie“. Myślę, że ujawnienie innych prac De Laveaux wypełniłoby próżnię, w której znalazła się samotna twórczość nielicznych artystów polskich z prawdziwego zdarzenia w drugiej połowie XIX stulecia. „Studjum“ Henryka Rodakowskiego, malowane z ogromną swobodą i wdziękiem, pełne kolorystycznej finezji, świadczy o nawskroś francuskiej kulturze artysty. Spośród obrazów Artura Grottgera prawdziwą niespodzianką jest pejzaż „Anioł Pański“. Pejzaż ten niewątpliwie powstał podczas pobytu artysty w Paryżu, widzimy w nim bowiem nie tylko tematyczne, mocne sugestje pastoralnej sztuki Milleta, ale i francuską technikę faktury, nawiązującą pośrednio do zdobyczy formalnych szkoły z Barbizonu. Nastrojowy, liryczny pejzaż ten zdumiewa niespotkanym u Grottgera szerokiem płynnem pociągnięciem pendzla, chropowatą, gęstą powierzchnią i zadziwiającą konsystencją farby. Inne prace artysty są „w typie“ jego twórczości, zwłaszcza konwencjonalny, romantyczno- teatralny portret „Ofelja“. Spośród pozostałych eksponatów na uwagę zasługują: „Szwedzi w Warszawie“ Orłowskiego, o zwartej kompozycji, ścisłym, precyzyjnym, nieco graficznym rysunku i klarownym kolorycie; akwarela Podkowińskiego, przypominająca ostrym realizmem malarskiej wizji i jadowitemi zestawieniami ciepło-zimnych pigmentów wczesne prace Degasa; wreszcie soczysty pejzaż Jacka Malczewskiego, całkowicie odmienny od popularnych, secesyjno - dekoracyjnych kompozycyj artysty.

Leon Strakun



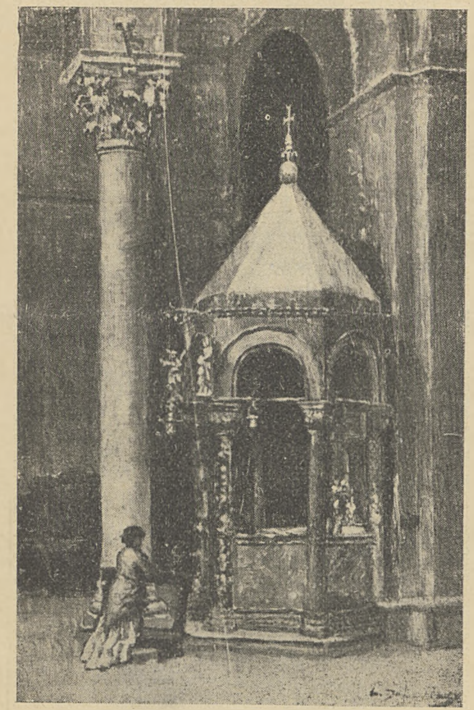
A. Grottger: Anioł Pański



Al. Gierymski: Luxembourg



Al. Orłowski: Szwedzi



L. De Laveaux: W kościele

NAGROBKI

POETCE MŁODEJ

Która śpiewała jak Safona
chociaż wolała męski rym —
tu leży ona.
Współcześniby pytali: „Z kim?“

PEWNEMU POWIEŚCIOPISARZOWI

Błagali, że poema płodził:
Powieś to, chłopcze, powieś!
Lecz źle dosłyszał biedny młodzian
i napisał powieść.

SERGJUSZOWI PIASECKIEMU

Spoglądnij — tu podziemny grób!
I wiedz — gdybyś nie wiedział:
Tu będzie długo leżał ów
co długo, długo siedział.

Stanisław Jerzy Lec

PO WYPOCZYNEK I SŁOŃCE NAD JEZIORA AUGUSTOWSKIE

Na terenie znanej ze swych uroków Augustowszczyzny, nad jeziorem Sajno i rzeką Nettą Wydział Młodzieży Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury im. St. Żeromskiego urządza w lipcu i sierpniu obóz dla młodzieży męskiej od lat 16 do 20. Obóz mieścić się będzie w murowanym budynku Domu Ludowego w Białobrzegach. Instruktorzy, sportowy i świetlicowy, czuwać będą nad wszechstronnem wyzyskaniem okresu wakacyj, zorganizowaniem wychowania fizycznego i życia kulturalnego na obozie, poprowadzeniem wycieczek pieszych i kajakowych.

Zapisów i informacyj udziela Wydział Młodzieży R. I. O. K., Warszawa, Senatorska 11. m. 12, tel. 2-00-84.

KORESPONDENCJA

OŚWIADCZENIE

Do redaktora „Sygnałów“

W nr. 22 „Prosto z Mostu“ ukazał się artykuł p. Alfreda Łaszowskego p. t. „Sprawa Jana Nepomucena Millera“, w którym autor raczył zająć się losami mojej skromnej osoby i dziejami pewnych moich poglądów.

Nie podając w wątpliwość prawa p. Łaszowskiego do takiego czy innego komentowania jakichkolwiek sądów lub opinij, wypowiedzianych publicznie, chciałbym się zastrzec jednak, również publicznie, przeciwko stronniczemu i krzywdzącemu mnie pod wielu względami artykułowi mego nieoczekiwanego patrona.

O rozstrzygającym wpływie moich poglądów na sprawę żydowską na dymisję moją z „Robotnika“ — mnie osobiście nic niewiadomo. Dymisję tę przypisuję raczej okolicznościom, związanym z życiem organizacyjnem Związku Zawodowego Literatów Polskich, ujawnionem m. in. przez p. Łaszowskiego, choć bez należytego może (jeśliby chodziło o wyświetlenie tej sprawy) nacisku.

Dziękując p. Łaszowskiemu za wystawienie mi patentu (na podstawie cytat z „Na gruzach Grenady“) na „żywiołowego faszystę“, żałuję, że p. Łaszowski, cytując moje poglądy na walkę klasową i rolę P. P. S., poskąpił czytelnikom „Prosto z Mostu“ moich sądów o faszyzmie i ruchu „narodowym“, utrwalonych w tej książce.

Możeby wtedy oblicze psychiczne J. N. Millera nabrało większej wyrazistości konturów a patent na „żywiołowego faszystę“, wystawiony mi szczodrą ręką p. Łaszowskiego, okazałby się indygenatem, udzielonym nie tyle za zasługi, ile ze względów protekcyjnych.

Ponieważ jednak o niczyją protekcję ani opiekę — nawet mimo poczucia krzywdy i niczem niezasłużonej banicji — nie zabiegam, pozostawiając p. Łaszowskiemu względną swobodę w klasyfikowaniu zjawisk przekonaniowo, pozostaję narazie, a mam nadzieję, że i na przyszłość zarówno bliższą jak dalszą — tem czem byłem od lat dwudziestu, t. j. **socjalistą** niezależnie od tego, czy to lub inne stronnictwo socjalistyczne raczy się przyznać do mnie lub nie.

Jan Nepomucen Miller

ANTOLOGJA WSPÓŁCZESNEJ POEZJI CHŁOPSKIEJ

Do redaktora „Sygnałów“

Jesteśmy w końcowem stadjum opracowywania antologji współczesnej poezji chłopskiej. Pragnąc powyższe zadanie wykonać jak najsumienniej, zwracamy się z prośbą do wszystkich poetów chłopskich bez względu na przekonania polityczne, którzy dotąd wydali książkowe zbiory poetyckie, lub ich nie wydali, zamieszczali jednak swe utwory po czasopismach (literackich, oświatowych, rolniczych, politycznych i t. p.), aby raczyli wskazać nazwy czasopism (rok, numer i datę), gdzie drukowali swoje utwory, bądź też powiadomić nas o wydawnictwach książkowych, które mogłyby ujść naszej uwadze.

Wszystkie czasopisma prosimy o przedrukowanie tego zawiadomienia.

Korespondencję prosimy kierować pod adresem: **Stanisław Słupek**, Kraków, ul. Radziwiłłowska 23, II. p.

Stanisław Słupek i Józef Sroga

*

M. H. Łódź. Niestety, wiersze nie nadają się do druku.

M. Z. Gdynia. Z opowiadania nie skorzystamy. Zwróciliśmy je pocztą.

J. S. Kraków. Zawiadomienie drukujemy.

E. K. Ostrów Mazowiecka. List i artykuł przesłaliśmy Zygmuntowi Jaroszowi.

J. G. Warszawa. Sprawa ta została już poruszona w artykule M. Lewińskiego.

H. H. Warszawa. Ze względów od nas niezależnych listu nie możemy umieścić.

D. W. Lwów. Dziękujemy za miłe słowa. Z listu skorzystamy przy innej sposobności, gdy sprawą tą zajmiemy się obszerniej.

J. K. Ze zrozumiałych względów artykułu o kwestji kolonjalnej nie możemy drukować. Zasyłamy pozdrowienia.

W. B. Z artykułu „Wykolejeńcy“ nie skorzystamy. Nie nadaje się do „Sygnałów“. Prosimy o dalszą pamięć.

B. W. Lwów. Wierszy nie umieścimy.

Ks. Cz. Przemyśl. Z fragmentu nie skorzystamy. Naogół rzadko drukujemy fragmenty powieści.

S. F. Łódź. Artykuł umieściliśmy. Prosimy o dalszą pamięć.

A. B. Sosnowiec. Drukujemy.

k. h. dr. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa. Cieszymy się, że mamy tak wielu oddanych przyjaciół. Recenzji nie możemy umieścić, gdyż o powieściach pisze nasz stały współpracownik. Warto ją posłać do innego pisma. Prosimy o dalszą pamięć.

M. L. Kraków. Przedruków zasadniczo nie umieszczamy. Sprawa ta była już w prasie wiele razy omawiana.

L. Z. Drohobycz. Recenzji nie możemy zamieścić. Książkę tę omówi nasz stały współpracownik. Recenzja zasługuje na wydrukowanie.

F. K. Drużkopol. Pismo nadal wysyłamy. Za przyjazne słowa serdecznie dziękujemy i zasyłamy najlepsze pozdrowienia.

R. N. Chrzanów. Piszecie, że „Sygnały“ poświęcają za mało miejsca muzyce i jej twórcom. Nie jest to sprawa łatwa, ale postaramy się, aby już w najbliższych numerach ukazały się artykuły na ten temat. Za wyrazy uznania serdecznie dziękujemy.

J. J. Kraków. Listownie odpowiadamy i rękopisy zwracamy, jeśli otrzymamy znaczki pocztowe.

H. H. Warszawa. Wiersze wykazują znaczny postęp — warto dalej pracować. Zasyłamy pozdrowienia.

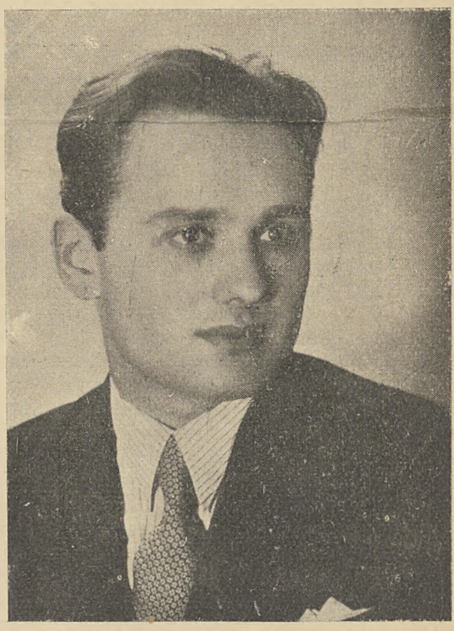
E. Bl. Warszawa. Książkę oddaliśmy recenzentowi. Z wierszy i artykułu „O hipertrofji nadrealizmu“ nie skorzystamy.

Eteris. Wierszy nie będziemy drukowali.

S. Z. Z wierszy nie skorzystamy. Zwrócimy je po otrzymaniu znaczków. Za wyrazy uznania serdecznie dziękujemy.

M. St. O. Warszawa. Wiersze nie do druku.

Współpracownicy »Sygnałów«



Zygmunt Jarosz



Jerzy Putrament

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK

Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6, tel. 265-09